Nr. 9. Poznań, niedziela 1-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nasz program.

III.

Jak wiadomo, po nad głowami stronnictwa ruchu ludowego podały sobie rękę wszystkie nasze koterye polityczne. Dzięki tej fuzyi, stronnictwo ludowe poniosło klęskę w wyborach do parlamentu. Tylko w okręgu wyborczym inowrocławskim odniosło zwycięstwo w ponownych wyborach po złożeniu mandatu przez p. Kościelskiego. Faktem jednak jest, że na sejmikach przedwyborczych wykazało to stronnictwo poważne siły. Było to ostrzeżenie dla koteryi liberalnej starego autoramentu, której koryfeje z bystrością, godną lepszej sprawy, potrafią ocenić każdą sytuacyę polityczną. W fuzyi, scharakteryzowanej powyżej, odgrywali oni bądź co bądź rolę pachołków: trzeba więc im było wymyślić coś nowego, zaimprowizować jakiś gołębnik, wytknąć tam chorągiewkę i roz pierzchłe gołębie znęcić do siebie. Tym gołębnikiem miało być „stronnictwo narodowe“, a „*signum quo vinces*“: „ład i porządek“. My przypuszczamy, że ci panowie powinni znać, chociaż tylko pobieżnie, historyą stronnictw politycznych; przypuszczając, że tak jest, dziwić się nam należy, że wymyślili firmę, która od dawna już jest zdyskredytowaną w państwach konstytucyjnych. Powinni przecież wiedzieć, że niedobitki stronnictw upadłych, aby się jeszcze *utrzymać przy władzy*, podszywają się pod powagi osób zażywających w społeczeństwie kredytu moralnego — i pod osłoną tych powag organizują *parti d'honnêtes gens, parti d'ordre*, Ordnungspartei itd. Akurat takiem stronnictwem jest nasza koterya zowiąca się niedawno temu jeszcze stronnictwem „ładu i porządku“. Publiczność nasza nie powinna się tumanić taką etykietą. Dają wprawdzie tej koteryi firmę osoby zacne i szanowane przez społeczeństwo — te same osoby, które zasiadają w komitetach zapraszających na bale składkowe, na fety jubileuszowe lub stoją na czele towarzystw filantropijnych, ale ludzie ci przedstawiają pod względem *iudicium* politycznego niezapisaną kartę. Sądzą oni, że kierują, a tymczasem, że użyjemy dobitnego wyrażenia hr. Badeniego, są kierowani, — wodzeni na pasku przez głowaczów zbankrutowanej koteryi. Pracują, — jeżeli imponowanie dobrą firmą pracą publiczną nazwać można, — tylko dla owych głowaczów, zadawalniających się chwilowo rolą faktorów, a czyhających na pierwszą lepszą sposobność, aby wrócić do władzy i prowadzić dalej „interes“ pod własną firmą. Jeżeli podobne stronnictwo, jak „ładu i porządku“, w samem społeczeństwie ma mir, zjawisko to tłomaczy się tylko tem, że u nas zawsze kredyt moralny pewnych osób starczył za program polityczny, i jak kiedyś domy magnackie były ogniskiem stronnictw, tak dziś pewne imiona spopularyzowane przez prasę, stały się środkiem atrakcyjnym dla bezkrytycznej publiczności. To też nie posiadaliśmy nigdy zorganizowanych na pewnych zasadach stronnictw, ale za to mieliśmy koterye, grupujące się około pewnych osób — koterye, które były istną plagą naszą, czy to w walce o niepodległość, czy w odradzaniu się społecznem, a do rzędu takich koteryi zaliczamy bez wahania t. zw. „stronnictwo narodowe“. Zwalczać go nie przestaniemy, bo wiemy dobrze, że wzywanie do „ładu i porządku“ nie było niczem więcej jak klekotem owej czapli „trochę ślepej, trochę krzywej“, — żywego obrazu koteryjki, co straciwszy zaufanie do sił własnych, pod grozą strachu przed rzekomą anarchią, przed „czerwoną chorągwią“ stronnictwa „ruchu ludowego“, przynęcić pragnęła do siebie nowem efektownem hasłem bezkrytyczne tłumy. *W najlepszym razie* reprezentuje ta koterya eklektyzm polityczny, — ten zwyczajny w polsce „równy mianownik“ najrozmaitszych prądów, a raczej zachcianek politycznych. Niestety wiemy z doświadczenia, że ten eklektyzm nie opierał się nigdy na twardych zasadach, przeciwnie kołysał się i to najczęściej na fluktach popularności. Rozum pojedyńczych choragów ulega przy pierwszem lepszem przesileniu politycznem „rozrzewnieniu patryotycznemu“, a owi ludzie, co *dzisiaj* pod naciskiem opinii zdrowej części narodu przysięgają, że nieopuszczą swych krzeseł senatorskich, w obec natarczywości „szaleńców“, jutro opuszczą je pod presyą tych samych „szaleńców“, a opuszczą je pod hasłem „zgody“ i „solidarności narodowej“; po niewczasie niestety nabierają oni przekonania, że berła, które dzierzyli, oyły słomiane, włożone im w rękę dla parady przez pewnych działaczów. Przeciw takim działaczom, ukrywającym się za fałdami ludzi zacnych, ale goniących za popularnością, ludzi, o których można razem z poetą powiedzieć, że im „ambicya serce z pod żeber wykradła“, powinno całe społeczeństwo stanąć frontem i tej kompanii, która terroryzuje opinię publiczną i w niemiłosierny sposób ją fałszuje, zgotować bezkrwawy termidor, oczywiście z tragikomicznem zakończeniem, godnem naszych Rabagasów.

Jedynem stronnictwem po za partyą „ruchu ludowego“, stronnictwem poważnem, opierającem się na wytkniętym z góry programie, jest u nas stronnictwo klerykalne. Nie znając tajemnic tego stronnictwa, nie możemy dziś wdawać się w ocenę jego stosunku do koteryi „ładu i porządku“. Przypuszczamy jednak, że najpoważniejsza część stronnictwa klerykalnego, wychowana w wyobrażeniach ks. arcybiskupa Ledóchowskiego i ks. Koźmiana wyemancypowała się z fuzyi, o jakiej mówiliśmy. Co do naszego stanowiska względem tego stronnictwa, pozwolimy sobie streścić nasze zapatrywanie w kilku słowach.

My przedewszystkiem nie przypisujemy naszemu stronnictwu klerykalnemu en bloc bezbarwności narodowej. Wiemy dobrze, że ogromna część duchowieństwa i obywatelstwa naszego, która się zaciągnęła pod sztandar tego stronnictwa, nieustępuje w patryotyźmie nikomu z nas. Dusza ich rozpołowiona — jednę połowę oddają Kościołowi, drugą nieszczęśliwej ojczyźnie; ale właśnie ta dwoistość naraża ich nieraz na kolizyę obowiązków względem jednego i drugiej. Zdarzały się często chwile i całe okresy, gdy interesy Kościoła i naszego narodu kollidowały w polityce od dnia do dnia. W takich razach *my*, jako broniący przedewszystkiem narodowości naszej wobec wszelkich zamachów na nią, nie zawahamy się nigdy wystąpić przeciw władzom Kościoła, składającym broń przed możniejszymi tego świata, których interes polega na zagładzie naszego narodu; u nich natomiast rozpoczyna się balansowanie, połowiczność, brak wyrazistości.

Zupełnie w duchu programu ks. Ledóchowskiego nie pragniemy, żeby Kościół stał się widownią jakichkolwiek manifestacyi politycznych. Uczy nas historya najnowszego pogromu naszego, że takie nadużywanie Kościoła w interesie politycznym było niemoralnem, bo szerzyło obłudę, i było niepolitycznem, bo w umysłach ludu naszego zamiast rozumnej świadomości obowiązków obywatelskich, krzewiło jednostronny fanatyzm. Nie możemy pod żadnym warunkiem się na to zgodzić, żeby ambona stała się miejscem agitacyjnem dla polityki. Ksiądz wchodząc na ambonę, jest tylko kapłanem, charakter swój obywatelski składa u progu kościoła. Nadużywanie „nieomylności“ słowa kapłań-

skiego w sprawach politycznych tam, gdzie tylko swobodna dyskusya ma swe uprawnienie, uważamy za zgubne dla jednej i drugiej strony; wszakże „germanizacya przez Kościół“ na Szląsku i w Prusiech jest stałą rubryką w naszej prasie peryodycznej — a każdy wie, że głównie ambona jest ogniskiem tej germanizacyi.

Przyznając każdemu obywatelowi *„liberum agito“*, bo to jest koniecznym korelatem powszechnego głosowania, przyznajemy to prawo w całej rozciągłości i duchowieństwu naszemu, żądamy jednak, żeby każdy duchowny, biorący udział w naszych pracach społecznych i politycznych, wiedział, że ukazując się na zebraniach politycznych jest tylko *obywatelem*. Jeśli o tym charakterze swoim zapomina, dziwić się nie może, że sukienka jego kapłańska będzie nieraz zbrukana *„pulvere olympico“* naszych politycznych sporów.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O przyczynach społecznych polityki ugodowej. Z okazyi głośnej sprawy galicyjskiego posła Bojki wypowiada „Przegląd Wszechpolski“ w Nr. 4 następujące poglądy.

Każda warstwa społeczna, utożsamiając interesy swoje z interesami narodowemi, siłą swoją siłę narodu mierzy. Więc szlachta, która czuje bezwiednie lub nawet widzi i rozumie, że siłę rzeczywistą traci, że stanowisko jej moralne i materyalne jest zachwianem, wątpi również o sile narodu całego. To jest niewątpliwie główną pobudką polityki ugodowej, która właśnie w warstwie ziemiańskiej czy to w Galicyi, czy w zaborze rosyjskim lub pruskim niemal wyłącznie znajduje zwolenników najgorliwszych. To jest źródłem wszelkiego rodzaju abdykacyi narodowej, wszelkiego lojalizmu, nawet takiego, który jest zupełnem odstępstwem od sprawy polskiej. Obok tego zwątpienia o własnych siłach, a w wywodzie logicznym i o siłach narodu, widzimy drugi jeszcze czynnik, nadający kierunek ugodowy polityce szlacheckiej. Pragnie ona utrzymać się na stanowisku dotychczasowem i ze swego punktu widzenia trafnie sądzi, że ugoda która przy jej współudziale, a nawet właściwie z nią tylko, jako z widomem i poniekąd uznanem przedstawicielstwem narodu może być dokonaną, wzmocni i utrwali jej rolę przewodnią w społeczeństwie.

Ponieważ warstwa szlachecka zajmuje dotychczas w społeczeństwie naszem stanowisko naczelne, chociaż nie posiada już siły wewnętrznej, stanowisku temu odpowiadającej, rządy rosyjski i niemiecki do ostatniej chwili niemal przeciw niej głównie występowały. W polityce, jak w każdej działalności rozpęd raz nadany powstrzymać trudno, istnieje w niej pewna tradycya pewien nałóg postępowania, od którego odstąpienie wymaga zmiany ludzi i środków. Takie zmiany odbywają się nagle tylko w okolicznościach niezwykłych; w warunkach powszednich sprawa przekształcenia stosunku rządu do pewnej klasy społecznej posuwa się powoli nieznacznie. W obu zaborach zresztą, o których mówimy, rządy w chwili obecnej nie mają pilnej potrzeby, bodaj nawet nie mają żadnego interesu prowadzenia polityki ugodowej, nie odrzucają wprawdzie wynurzeń lub objawów czynnych lojalizmu, ale w zamian nic albo bardzo niewiele, jakby z łaski jedynie dają.

W państwie austryackiem szlachta polska mogła stanowisko swoje, lepiej zachowane niż w innych dzielnicach, wyzyskać, ale i tutaj instynktownie czuje ona słabość swoją i dlatego zapewne nie stara się należycie skorzystać ze szczęśliwego zbiegu warunków i zdobytych wpływów w celu prowadzenia polityki narodowej polskiej, tylko poprzestaje na utrzymaniu swojej przewagi fikcyjnej, coraz bardziej tracącej podstawę rzeczywistą. Tylko niewiarą we własne siły, w żywotność swoją można objaśnić dziwną nieraz wstrzemięźliwość i bezinteresowność a raczej obojętność polityczną przedstawicieli tej warstwy, oraz pesymizm w sprawie narodowej znamionujący działalność stronnictwa krakowskiego, najwybitniejszego odłamu obozu arystokratyczno-szlacheckiego. Publicyści tego stronnictwa nie zdają sobie może sprawy z tego, że policzone są już dni przewodnictwa warstwy, której interesom służą, ale widzą dokoła siebie objawy jej upadku i niemocy i z nich wyprowadzają wniosek, że istnienie niezależne Polski jest niemożliwem.

W zaborze pruskim i rosyjskim ta sama warstwa, nie znajdując istotnie warunków do odzyskania swego naczelnego stanowiska, twierdzi również pod wpływem swego usposobienia i wrażeń bezpośrednio odbieranych, że odzyskanie bytu narodowego nietylko w formie państwa niepodległego, lecz nawet w formie samorządu politycznego jest złudzeniem, i szuka jedynie sposobności do zawarcia kompromisu, któryby jej przedewszystkiem, w ciasnym bodaj zakresie interesów klasowych dawał możność znośnego istnienia. Polityce warszawscy, wysuwający na pierwszy plan w memoryałach sprawę służebności lub inne podobne, złożyli wymowne świadectwo bankructwa politycznego szlachty. Taki sam dowód przedstawiła przed paru laty szlachta poznańska, która rozpoczynając politykę ugodową, nie wiedziała nawet czego ma żądać. A szlachta galicyjska która brać może z uprzejmie dla niej otwartej skarbnicy ustępstw politycznych, ile zechce, czyż nie doświadczała kłopotu w wyborze, czyż nie zrzeka się dobrowolnie tego, co jej prawie gwałtem wciskają, lub co mogłaby wziąć bez oporu, gdyby tylko rękę wyciągnęła.

W zaborze rosyjskim mieszczaństwo, które rozumieć zaczyna, że jest siłą istotną w danej chwili, chociaż z tradycyi wpływowi szlachty ulega, chociaż z polityki ugodowej mogłoby wyciągnąć największe zyski, opiera się tej abdykacyi bezwarunkowej, ofiarowaniu usług, bez żądania za nie umówionego wynagrodzenia. Drobne mieszczaństwo i lud, o ile występują świadomie w zaborze pruskim, zajęły zupełnie podobne stanowisko w obec tz. partyi dworskiej i miejscowych dążeń ugodowych. A trzeba pamiętać, że mieszczaństwo z usposobienia swego, z natury swych zajęć i interesów najbardziej jest do ugody podatnem, jeżeli więc ono skwapliwie jej nie szuka, jeżeli nawet nastręczaną mu sposobność odtrąca, to dlatego, że czuje w sobie pewną siłę, dającą mu rękojmię zdobycia w ten lub inny sposób korzystniejszych warunków.

W miarę rozwoju społecznego przenosi się coraz niżej punkt ciężkości polityki narodowej, która w masach ludowych zyskuje podstawę do działania. Wzrost świadomości politycznej wśród ludu idzie bardzo szybko w tych nawet dzielnicach naszych, gdzie współdziałanie tej sprawie inteligencyi jest bardzo trudnem. Dodać też trzeba, że równolegle lud rozszerza zakres pojęć swoich, potrzeb i stosunków wtedy nawet, kiedy dobrobyt jego nie wzrasta i że w związku z tem całe zastępy inteligencyi zawodowej stają się od niego bezpośrednio zależne.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Już uczyniłam i nie cofnę się.

— A gdybym ja na to nie pozwolił.

— Pan nie masz prawa mi bronić.

— Właśnie, że mam.

— Ciekawa jestem, jakie?

— Takie, że panią kocham... kocham mimo, że pani dajesz mi uczuć, iż mną gardzisz. I kto wie, czy dziś właśnie nie kocham pani więcej, niż przedtem.

Lola poczyna drżeć; powieki jej poruszają się nerwowo, usta się kurczą i zwężają. Podobna jest do rozbitka na morzu, który tonąc, ujrzał w oddali ciemniejszy punkt, ostatnią iskrę nadziei. Są to rozpięte skrzydła szybującej nad falą mewy — lecz on powiada: nie, to nie mewa, to żagle okrętu, który mnie ocali. I z tym przebłyskiem myśli idzie na dno morza.

Lola nie chce wierzyć słowom Dynieckiego, powtarza sobie bez przerwy: nie wolno mi wierzyć.... a przecież już wierzyć poczyna.

— Pan kochasz cały świat — odpowiada z drżeniem w głosie i cierpkim wyrzutem. — Dziś tu, jutro tam.... Mój Boże, to najprzyjemniejsze. Młody pan jesteś, podobać się możesz, więc dla czego nie masz się bawić?

— Co za dzieciństwo! A nie mówiłem, że nie nauczyłaś się pani jeszcze ludzkich uczuć rozumieć?

— Po co tu jakiekolwiek rozumienie? Widziałam dosyć, może nawet za wiele, i to mi wystarcza.

— Nie widziałaś pani zgoła nic, a to, coś pani widziała, to jest taką błahostką, że o niej myśleć nie powinnaś. Widziałaś pani, jak pewne niemądre, choć starsze wiekiem dziecko, cisnęło się gwałtem na kolana i prosiło gwałtem o pocałunek. No, i cóż? Aby się pozbyć natręta, pocałowałem je i odtrąciłem od siebie. Nie zastanawiałem się zbytnio nad tem, co czynię. Zresztą, jeśli mam być zupełnie szczerym, to powiem, że zrobiłem to przez panią i dla pani. Wiem, jakie przykrości znosiłaś pani w domu z tego powodu, że okazywałaś mi nieco więcej uczucia. Jednym, nic nie znaczącym pocałunkiem chciałem uśpić smoka i okupić pani spokój. Być może, że źle zrobiłem, ale ręczę, że nie w złej myśli. Tymczasem, cóż się stało? Pani, nie wyrozumiawszy mnie, nie wysłuchawszy nawet mego usprawiedliwienia, z gniewu i zazdrości popełniłaś szaleństwo, rozbiłaś jednem uderzeniem nasze wspólne szczęście.... Dzieciństwo, dzieciństwo i jeszcze raz dzieciństwo!

Dyniecki zapala się i chce być jak najbardziej wymownym i przekonywającym; już nawet sam zaczyna w części wierzyć, że mówi prawdę. Jest on powolnym sługą namiętności, chwilowej podnięty, sługą brutalnych nerwów, którym oprzeć się nie umie i nie chce. W tej chwili czuje, że za jeden pocałunek Loli, jeden jej uścisk serdeczny oddałby bardzo wiele, za pocałunek i uścisk kobiety, która przed niespełna jeszcze godziną nim gardziła, a która gardząc, była znacznie piękniejszą i ponętniejszą niż kiedykolwiek dotąd. Jest on obecnie całkiem powolnym sługą swych nerwów, a nerwy te wiodły go już niejednokrotnie po nad przepaście, które zawsze jednak pomijał zwycięsko, strącając w nie swe ofiary. Dla czegoż zatem nie miałby raz jeszcze odbyć podobnej wędrówki, skoro wśród karkołomnej przeprawy będzie mógł bodaj przez chwilę ponętną przytulić do piersi dziewczynę.

Takiej potędze nerwów ulegał zawsze praojciec Dynieckich, Don Juan Tenorio z Sewilli i pod ich sztandarem wypełnił swój zacny żywot setką awantur miłosnych. On skrystalizował w sobie typ istniejący od wieków, a następnie w różnych czasach i okolicznościach, różne przyodziewając szaty, uwija się nadal wśród ludzkości jako żyd wieczny tułacz, lub feniks odrodzony z popiołów.

Na oświadczenie Dynieckiego Lola spuściła oczy i umilkła. On, wyczekawszy chwilę, zagadnął znowu:

— Pani milczy?

— A cóż mam począć? Dla czegoś się

Ta inteligencya nietylko ze skłonności swego umysłu, nie tylko z uczuć swoich, ale i z interesów musi zbliżać się do ludu, jednoczyć się z jego sprawą, z jego polityką.

W tej warstwie najniższej społeczeństwa drzemie siła niespożyta, nieświadoma dotychczas lub zaledwie do świadomości przychodząca, ale rzeczywista, bodajby ze względu na potęgę liczebną. Na kresach narodowych, w zapomnianych od pięciu wieków zakątkach okazuje dziś znaki istnienia, a w warunkach przyjaźniejszych wybija się z energią, którą dać może tylko wiara w siebie i w przyszłość. Polityka prawdziwie demokratyczna u nas, prowadzona w imię dążeń i interesów ludu, może rozmaite przybierać formy, zmieniać sposoby i środki działania, w miarę potrzeby przerzucać się od rewolucyi do ugody, i odwrotnie, ale dla tego, że przedstawia siłę istotną, narastającą i dochodzącą do świadomości — nigdy nie może prowadzić do biernego poddania się, do zwątpienia o przyszłości narodu, do wyrzeczenia się jego praw przyrodzonych i interesów, jego tradycyi historycznej w poczuciu odrębności i samodzielności utrwalonej.

Warstwa przewodnicząca prowadzi politykę narodową na tory błędne, dając jej wskazania fałszywe, bo do swej niemocy zastosowane. Gdyby dzisiejsze swoje stanowisko właściwie rozumiała, nie wyrzekając się przywileju kierownictwa, do którego niewątpliwie posiada więcej warunków, aniżeli jakakolwiek inna grupa społeczna, ograniczyłaby je do właściwego zakresu i starałaby się zostać przedstawicielką nie tej siły, która zadanie swoje spełniła i dziś rozprasza się i zanika, ale tej, ktora rośnie i w nowych kształtach się objawia. Byłoby to wszakże kierownictwo raczej formalne aniżeli istotne, chociaż pozwalałoby klasie przewodniczącej zachować do czasu pewne przywileje, z jej położeniem społecznem związane. Tak postępuje arystokracya angielska, która nie ma już rzeczywistego wpływu na bieg polityki narodowej, zachowała jednak stanowisko wyjątkowe. Na każdej innej drodze postępowania szlachta nasza spotykać się będzie coraz częściej z zarzutami, podającemi w wątpliwość jej patryotyzm i jej kwalifikacye do prowadzenia polityki narodowej, aż doczeka się wreszcie stanowczego żądania *se soumettre ou se demettre*. Poddać się lub ustąpić — pomiędzy temi żądaniami dziś już wybierać trzeba. Albo poddać się konieczności rozwoju historycznego stosunków społecznych, przyjąć z dobrą wolą i wiarą wszystkie jego skutki i korzystając z okoliczności, a mianowicie z braku w warunkach dzisiejszych lepiej uzdolnionego do działalności politycznej i zorganizowanego współzawodnictwa — ocalić przynajmniej cenny a nawet korzystny przywilej przewodniczenia honorowego; albo — ustąpić gorzej, być zmuszoną do ustąpienia i narazić się na wszelkie takiego przymusowego opuszczenia stanowiska wyniki.

* * *

W obronie języka ojczystego. „Gazeta Ludowa“, wychodząca w Ełku na Mazurach dla Polaków ewangelickiego wyznania wypowiada następujące uwagi w obronie języka ojczystego:

„Licha to rzecz — ten duch rozdwojony i rozerwany miedzy dwoma językami, niby ojczystemi. Za ciasny obręb duszy ludu, aby się w niej dwoje języków, tak sobie przeciwnych, równą obu dokładnością i łatwością mieściło.

Cóż tedy? Czy chcemy „na obie strony chromać“, uganiając się daremnie za posiadaniem obydwóch języków, rodowitego (polskiego) i obcego (niemieckiego)? Albo czy koniecznie nam przyjdzie rozbrat uczynić z naszemi matkami polskiemi i wstydzić się mowy z mlekiem macierzyńskiem wyssanej? Zły to znak, kiedy już syn gardzi mową rodziców swoich i pyszni się cudzą!

Mowa polska jest bardzo rozgałęziona i w pobratymczych gałęziach swoich (które się, razem wzięte słowiańskiemi nazywają), idzie aż do Moskwy, a za Moskwą idzie tysiąc mil aż do ostatnich krańców morza Azyatyckiego, a na południe aż do Turcyi i do morza Adryatyckiego, a na zachód aż do Czech. A tak zacny język mamy znieważyć, mielibyśmy go zaniechać, w poniewierkę dać, onego się wstydzić i wyrzec, a to wszystko kilku niechętnym Niemcom gwoli?!

Sięgnijmyż przecie do głowy po rozum i zważmy, ile to lat męki kosztuje polską młodzież nauka trudnej mowy niemieckiej, który zmarnowany drogi czas potrzebniejszy nam jest na odkopywanie skarbów naszej mowy tak bogatej, tak przez wieki ogładzonej i tak nam dogodnej. Bo tylko za pomocą macierzyńskiej mowy, możemy jasnych pomysłów nabyć i pismo św. wyrozumieć i rozumną służbę Bożą odprawiać i nabożnie się modlić.

Ale może mowa niemiecka lepsza i dogodniejsza do udzielania nauki i mądrości? Bynajmniej! (choć tak o niej twierdzą Niemcy, jak to zwyczajnie każda liszka swój ogonek chwali) i owszem mowa polska, pochodząca od narodu dawnego, jak świat, zawiera w sobie taką obfitość treściwych i dźwięcznych (pełno-brzmiących) słów i głosek i pięknych końcówek, że ich nam niemieccy nawet bezstronni uczeni zazdroszczą. Pewien niemiecki pisarz, pan Kaulfus, całą książkę o tem napisał, w której dowodzi i przykładami stwierdza piękność i lepszość mowy polskiej. Pocóż więc mamy zmieniać naszą, tak wyborną, starą, wyrobioną i gładką mowę na dość twardą, a nieraz szorstką niemczyznę? Oto, może dla tego, żeby ze śmiechem o nas mówiono:

Mieniał, mieniał się nasz stryjek:
Dostał za siekierkę kijek:“

Na, innem miejscu pisze to samo pismo ewangelickie:

„Utwórzcie na jednym z uniwersytetów niemieckich, może najlepiej w Berlinie, wydział teologiczny, szkołę przyszłych księży naszych z wykładowym językiem polskim. Cóż my prusey ewangelicy polscy mamy z tego, że sławne na cały świat wysokie szkoły niemieckie przyszłych księży naszych zaopatrzają w bogactwa rozmaitej wiedzy, kiedy ten ksiądz, gdy stanie między nami, nie wie ani be ani me, bo się z nami dostatecznie rozmówić nie umie? W księdze Joba czytamy, że przyjaciele jego mówili wiele mądrych rzeczy, ale skarga Boża była ta, że nie mówili przystojnie. Tegoż sobie tedy życzymy, żeby księża nasi na miejscu świętem w kościele i wszędzie, gdzie występują jako księża, mówili przystojnie. Nie jakąś łamaniną jezykową, co zamiast budować, śmiech budzi na miejscu świętem, ale polszczyzną dobrą i piękną. Bo ucho i serce najlichszego nawet człowieka z pod najlichszej chałupy wiejskiej przecież pragnie, żeby w domu Ojca swego niebieskiego usłyszał mowę, odzianą w szatę świąteczną. O takie wykształcenie księży naszych nikt a nikt nie dba. A to jest niesprawiedliwość i krzywda względem zborów i względem księży.“

* * *

Projekt hr. Badeniego. Lwowski tygodnik „Monitor“ gromi w następujących słowach projekt reformy wyborczej przedłożony przez hr. Badeniego.

„Niesprawiedliwy system wyborczy zachowuje hr. Badeni nietknięty — i do systemu tego dolepia nową piątą kuryę, w której każe głosować dotychczas pozbawionym praw politycznych, jakoteż wyborcom dotychczasowych kuryi. Myśmy tymczasem w pierwszej linii atakowali ów s y s t e m, żądaliśmy zupełnego usunięcia go. Hr. Badeni nietylko go nie usuwa, ale stwarza nadto jakiegoś dziwoląga, pod nazwą

---

pan pierwej nie wytłómaczył, dopiero teraz, po niewczasie?

— Alboż dała mi pani sposobność do wytłómaczenia się? Zresztą jakże mogłem się wytłómaczyć, skoro widziałem owego wieczora złość i żal, gniew i nienawiść w oczach pani?

— Lola wzdycha i szepce:

— Wszystko już teraz za późno; jestem narzeczoną. Widzisz pan obrączkę?

— Więc dla niedorzecznej obrączki chcesz pani poświęcić szczęście całego życia? Panno Lolu!...

Porwał jej rękę i uścisnął silnie. Lola nie cofnęła się.

— Panie Dyniecki....

Oczy jej rozżalone, zamglone łzami, zdawały się błagać o litość, lecz gniewu, oburzenia, nienawiści już w nich śladu nie ma. Dziewczyna podobną jest w tej chwili do ćmy nocnej, która w rozżarzonej lampie światło dzienne widzieć chciała.

Za kulisami ozwały się kroki. Lola cofnęła rękę z uścisku Dynieckiego i odsunęła się.

Na scenkę wszedł Smolarz, przystrojony w żółtą kudłatą perukę. Granatowy frak z cynowymi guzikami, wymalowane rumieńce na śniadej twarzy i rudawa peruka czyniły go podobnym do manekina za wystawą fryzyera.

Wszedł na środek sceny, oglądał swoje trzewiki i założywszy ręce, zapytał zabawnie:

— Jakże się pannie Loli w tym fraku i tej peruce podobam?

Wydał się jej śmiesznie brzydkim. Ruszyła niecierpliwie ramionami i odparła niezadowolona:

— Ślicznie, bardzo ślicznie.

A Smolarz żartował dalej:

— Oto, jakbym w takim fraku szedł do ślubu!

— Do ślubu zwykle jeździ się, nie chodzi — zauważył złośliwie Dyniecki.

— E, — odparł Smolarz naiwnie — alboż my jesteśmy tacy wielcy państwo, żebyśmy nie mogli pójść do ślubu piechotą? — zwrócił się do Loli. — Prawda panno Lolu, że mam słuszność?

Dyniecki powiódł ironicznym wzrokiem po Smolarzu i spojrzał z uśmiechem na Lolę.

— Później o tem pomówimy — odrzekła Lola i wstała niezadowolona.

Na sali huczało już, jak w ulu. Gdy zatem fryzyer ukończył charakterystykę Józefa Ranieckiego i założył mu okulary na nos przyprawiony, Łasiecki wpadł na scenę i zakrzyczał:

— Wszystko już gotowe. Zaraz zaczynamy. Panna Lola i pan Dyniecki na prawo za scenę, Franek i panna Anna na lewo. Ty Józef marsz naprzód; pamiętaj, że masz przechadzać się wielkiemi krokami.... a słuchaj dobrze podpowiadania, żebyś nie pobałamucił. Proszę się rozchodzić. Gotów!

Poskoczył za kulisy, zadzwonił i pociągnął za sznurek od kurtyny. Arcydzieło Chaima Berla poszło w górę i przedstawienie się zaczyna.

Mąż (p. Józef Raniecki przechadza się wielkiemi krokami. Robi trzy kroki tam, trzy napowrót, podkręca wąsy i rozmyśla:)

„Doskonale, wyśmienicie! Dzisiejszy wieczór spędzę bardzo wesoło. Mamy się zejść pod „żółtym jeleniem“ z Ludwikiem i Ambrożym na kawalerską ucztę. Najpierw zagramy sobie partyjkę taroka, a potem idziemy na maskaradę, gdzie będą nas oczekiwały dawne przyjaciółki: Genia, Józia i ta, ta.... mała bestyjka Wicia. (Wzdycha i wznosi oczy do góry). Hej, hej, gdzie się to podziały owe błogie kawalerskie czasy, kiedy się to noc w noc tak birbantowało. Dziś zupełnie inaczej. Chcesz wyjść wieczorem na szklankę piwa, musisz się przed żoną tłómaczyć, usprawiedliwiać, prosić.... a gdy i to nie pomoże, musisz wykradać się, jak złodziej po cichutku, na palcach....“

Józef ilustruje żywo wykradanie się na palcach z domu, co wywołuje w audytoryum pierwszy wybuch uśmiechu. Najwięcej ze wszystkich ubawiony tem Klepka, poczyna dusić się i huczeć. Obok niego siedzący stary Raniecki hamuje go lekkiem pchnięciem w bok. To pobudza Klepkę do większej jeszcze wesołości. Tymczasem mąż prawi dalej:

„No, ale dziś nie trzeba będzie takiego podstępu. Wypłatałem bowiem mojej żonie znakomitego figla. Powiedziałem jej, że obchodzimy dziś dwudziestopięcioletni jubileusz

„piątej kuryi“, w której niewiedzieć z jakiej rozumnej racyi mają głosować należący do innych kuryi. Od zasady powszechnego prawa głosowania i równości obywateli cofa się hr. Badeni do zasady zastępstwa interesów. A więc dotychczasowa uprzywilejowana kurya wielkich posiadłości ma istnieć, kurya izb handlowych zachowana, cenzus wyborczy w miastach i na wsi zatrzymany. Jak hr. Badeni pojmuje godło „sprawiedliwości“, którym opatrzył swój projekt, wskazują cyfry.

W całej Przedlitawii było dotychczas obywateli wyborców 1,732,257. a ci wysyłali 358 posłów do parlamentu. Obecnie wedle nowego projektu wzrasta ta liczba do sumy 3,601,224 wyborców, a więc awukrotnie, a ci nowi wyborcy mają wybierać tylko 72 posłów. Nowy więc parlament składał by się 85 posłów wielkich posiadłości, 119 deputatów miast, 21 posłów z izb handlowych. 129 posłów gmin wiejskich, a tylko 72 reprezentantów nowej kuryi. Gdy więc n. p. 20 właścicieli wielkiej posiadłości wyszle sobie jednego reprezentanta do Rady państwa, to jeden reprezentant nowej kuryi może sobie reprezentować i 100,000, a nawet do 300,000 obywateli!

To się nazywa „sprawiedliwością!“

Taka „sprawiedliwość“ to równoznaczna z uświęcaniem dotychczasowego systemu, który ma na celu tylko to, aby masy ludowe były nadal jak dotychczas wydane na pastwę egoizmowi klas uprzywilejowanych pod względem ekonomicznym, aby wszelkie reformy socyalne usunąć zupełnie z porządku dziennego.

To więc nie dla nas reforma!

Nie łudzimy się bynajmniej, że pod grozą rozwiązania parlamentu, wszystkie niemal stronnictwa zaaprobują projekt hr. Badeniego — ale na sztandarze ludu będzie nadal powiewało wielkiemi zgłoskami wyryte żądanie:

Powszechne, bezpośrednie, tajne prawo głosowania!“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

Wszelkie mody, a więc i literackie płyną do nas z Zachodu. Dzięki temu ujrzeliśmy w ostatnich czasach na scenie naszej domorosłych Maeterlincków, w dziedzinę naszej powieści i noweli wtargnęły buńczucznie nadwiślańskie Zolęta. Bourgeciki i Maupassanciki, a do świątyni naszej pięknej, wielkiej poezyi wcisnęli się hurmem z napuszonemi minami Baudelairki, Verlainki, Sully-Prudhomki.... Drobne te stworzonka, może właśnie dla tego, że drobne, stały się bardzo dokuczliwe, bo taki drobiazg zazwyczaj sporo czyni hałasu szumem swych skrzydełek, najłatwiej roznosi bakcyle, a najtrudniej się od niego opędzić. To też równocześnie z jego pojawieniem się zaczęły trapić naszą literaturę różne większe i mniejsze epidemie: naturalizm, dekadentyzm, symbolizm, impresyonizm, okultyzm, weryzm, modernizm, mistycyzm....

Niektórzy z nowatorow nanieśli do winnicy naszej literatury i filokserę pesymizmu. Negatywny ten kierunek, którego ojcem duchowym a raczej odnowicielem był Schopenhauer, znalazł dla siebie nad Sekwaną grunt podatny, użyźniony przez sceptycyzm renanowski. Uczniowie, jak zwykle uczniowie, nietylko spopularyzowali mistrza, ale przekroczyli znacznie granice jego doktryny. Naszym nowatorom zdawało się, iż nieszczęśliwe polityczne stosunki, w jakich żyjemy, sprzyjać będą rozmnażaniu się tej filoksery. Zawiedli się: sztucznie wylęgnięty pesymizm nie jest w stanie stoczyć zdrowych pędów, przynosi tylko szkodę roślinom chorym, usychającym, niezdolnym do odporności, a względne swe powodzenie zawdzięcza jedynie swym siewcom, który wraz z innymi nowatorami zawiązali między sobą ligę wzajemnej ochrony i wzajemnej adoracyi. Piszą o sobie dużo, wciskają się do zbyt gościnnych gospód dziennikarsko-literackich i wmawiają w gospodarzy i biesiadników, że przynoszą ze sobą nowe myśli i świeże prądy. Poznajemy się jednak pomału na nich, przekonujemy się, że brak im szczerości, że pod czarną maską pesymizmu mają oblicza wesołe, że każdej chwili są gotowi zrzec się upragnionej i przywoływanej nicości za cośkolwiekbądź realniejszego, choćby to było tak niepochwytne jak uścisk kobiety, tak prozaiczne jak mamona, lub tak lekkie jak dym z dobrego cygara, lub gaz z napełnionego szampanem kielicha. Nietylko praktyczni, trzeźwi prozaicy, ale i łatwo ulegający wrażeniom poeci zabrali się już do wypędzenia przekupniów i faryzeuszów pesymizmu ze świątyni literatury.

Przyjacielu o mistycznej twarzy!
Mnie nie zwiedzie smętna twa osoba....
Wiem, że puder bladością cię darzy,
A pesymizm tobie się podoba
Nie jak cmentarz marzeniom nędzarzy,
Lecz jak ładnej blondynce — żałoba.

— przemawia z ironią Gomulicki do panów „z trupią główką na krawacie“.

Czyby jednak pesymizm nie miał prawa bytu w literaturze? Skąd znowu! Wszystko ma prawo bytu w literaturze, co istnieje w życiu, a nikt nie zaprzeczy, że pesymizm w życiu istnieje. Każda jednostka szlachetna czy wrażliwa, im więcej jest zdolna myśleć i zastanawiać się, tem więcej odczuwa boleści własne i ogółu, tem większą goryczą wzbiera jej serce. Kult myśli Bożej ustępuje kultowi ciała; najwznioślejsze ideały padają pod brutalną dłonią przemocy, lub odbierają chłostę od skojarzonych przeciw nim osobistych interesów, intryg, podstępów; nieskażone i czyste charaktery paczą się, schodzą z drogi prawdy i obowiązku; spryt i poza górują nad wiedzą i zdolnościami; wielkie talenty służą wielkim bezprawiom; sprawiedliwość wymierza ciosy niewinnym, a tarczą swą osłania zbrodnie i występki; organizacya społeczna i polityczna, ku którym ludzkość dążyła jako ku zbawczym przystaniom, okazują się wadliwe, gorsze częstokroć od porzuconych; bożkom fałszu i złota

---

jednego z naszych biurowych kolegów i ja muszę być na nim koniecznie. Krzywiła się z początku i wyrzekała, ale ostatecznie uwierzyła w prawdziwość słów moich i dała swe najwyższe pozwolenie (przechadza się i myśli). Byle tylko nie przyszła jej ochota szpiegować mnie i przekonać się, czy prawdę mowię. Muszę coś takiego obmyśleć, coby ją w domu bezwarunkowo zatrzymało“.

Kiedy „mąż“, przyłożywszy palec do czoła, obmyśla w zabawny sposób plan zdrady na scenie, w zaułku kulis odbywa się jeden z tych cichych dramatów, których przebieg nie dochodzi do publiczności, a które tem są nieraz tragiczniejsze, że osoby w nić intrygi pozascenicznej wmięszane, śmiać się muszą wzorem nakręconych manekinów, gdy serce z bólu pęka.

Smolarz chwycił Łasieckiego za rękę, pociągnął go ku sobie i jęknął:

— Łasiecki.... patrz, tam.... w to lustro po przeciwnej stronie.... Czy widzisz, co się tam dzieje?

- Nie, nic nie widzę.

Smolarz zgrzytnął zębami i wypuścił rękę Łasieckiego z żelaznego uścisku.

— Już znikło — zauważył zmienionym głosem.

Na scenie „mąż“ prowadzi tymczasem monolog dalej:

„Aha, już wiem. Napiszę do niej list tej treści: „Kochana Luniu! Przyjeżdżam dziś do miasta pocztą między 11 a 12 w nocy i zapraszam się do was. Naumyślnie nie podpisuję się, aby wam sprawić niespodziankę. Zgadnijcie, kto to“. — A co? nie wyborna myśl? Oczywiście, że po odebraniu tego listu będzie tak zaintrygowana przyjazdem tajemniczej osoby, że ani jej przez myśl nie przyjdzie mną się zajmować. Jednak list ten każę jej wręczyć po mojem odejściu, aby mię w domu nie zatrzymała. Otóż tak będzie najlepiej. (Zaciera ręce). Ona tu warzy kolacyę, czyni przygotowania, a ja tam z małą bestyjką Wicią ten tego....“

Audytoryum wybucha śmiechem. Klepka huczy — Raniecki karci go ponownym szturchańcem.

Smolarz chwyta powtórnie Łasieckiego za rękę.

Łasiecki! czy widzisz?... on ją przyciska do siebie i całuje.... Ja go uduszę.

Teraz Łasiecki zobaczył to w zwierciedle, na co Smolarz od dłuższej chwili spoglądał. A gdy Franek zacisnąwszy pięści, postąpił krok naprzód, porwał go oburącz za ramię i zatrzymał.

— Franek, ty się mylisz — tłómaczył spiesznie — to ci się tylko tak zdaje. Mój drogi, nie rób awantury, popsujesz przedstawienie. Widzisz, że teraz stoją całkiem grzecznie i z daleka od siebie. To ci się tylko tak zdawało.... Zaczekaj jeszcze, mój drogi.

Łasiecki nie wierzył w to, co mówił i był pewny, że Smolarz także słowom jego nie wierzy, chciał jednak jakimkolwiekbądź sposobem uspokoić przyjaciela.

Mąż tymczasem skończył pisanie listu i powiada:

„Muszę jednak nakazać Janowi, aby list oddał żonie dopiero po mojem odejściu (dzwoni i woła) Janie!

— Franek, wychódź na scenę! — woła Łasiecki.

Ale Franek, nie myśląc o przedstawieniu, patrzy wciąż uporczywie w fatalne zwierciadło i ma minę podrażnionego niedźwiedzia.

Zniecierpliwiony „mąż“ dzwoni powtórnie i woła jeszcze głośniej, tupiąc nogą: Janie!

Łasiecki wypycha Smolarza przemocą na scenę i podaje mu w ucho odpowiedź: „słucham proszę łaski pana“.

„Słucham proszę łaski pana“ — powtarza Smolarz bezwiednie wychodząc na scenę. Rozglądnąwszy się jednak po kilkuset utkwionych w siebie oczach, odzyskuje samowiedzę i stara się przypomnieć sobie, co ma czynić i mówić.

Mąż: Nie było do mnie jakiego listu z miasta?

Jan: Był proszę pana, przyniósł go posłaniec przed chwilą i powiedział, że tylko panu samemu mam go doręczyć.

Mąż: Dawaj go.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

stawia społeczeństwo ołtarze; cała ludzkość prawie stoi pod bronią i gromadzi materyały do dzieła zniszczenia.... A kto nie wybiega tak daleko swoim wzrokiem, lecz w ciaśniejszem kole czyni swe spostrzeżenia, odczuwa ten sam zawód, to samo spotyka go rozczarowanie. Widzi ludzi ciężkiej pracy, padających ze znużenia i niemogących zaspokoić najpierwszych potrzeb swej rodziny, a obok próżniaków rozrzucających złoto garściami; widzi łotrów odbierających cześć ogólną, a zacnych obrzucanych błotem przez rzezimieszków cudzego honoru; widzi głód, nędzę, chorych bez opieki, płaczących bez pociechy, pracujących bez zapłaty, zdolnych bez chleba, cnotę bez uznania, ciemnych wyciągających ręce ku światłu — a jednocześnie w blaskach i złocie chodzą nieprawość i sromota, blaga i karjerowieczostwo odnoszą życiowe tryumfy, umysły płytkie wyższym narzucają swą wolę, egoizm wypłasza miłość bliźniego z chat i pałaców; dobru jednostki poddaje się dobro ogółu, sumieniom wydano walkę, cnoty przybito do krzyża. I jak tu nie być pesymistą, jak wierzyć w odrodzenie ludzkości, w zwycięstwo prawdy? Jak tu nie być pesymistą, kiedy każda chwila znaczy się krzywdą biednych, opuszczonych, wierzących i miłujących, a korzyścią złych, sprzedajnych, używających. Jak tu nie być zwłaszcza pesymistą temu, kto na drodze swego życia spotyka niezasłużone cierpienia, temu, którego czyste zamiary oplwano, pracę wyzyskano, szlachetny zapał wyszydzono, temu, który za lata trudów i znojów widzi zbliżającą się zapłatę dla siebie i swych znajomych w postaci nędzy. Jak nie być pesymistą temu, którego ideały społeczne i etyczne zwarzył mróz zimnej rzeczywistosci, a który w pogoni za kawałkiem chleba upadł bezsilny na ostre kamienie ludzkiej zawiści i obojetności, widząc w oddali zastawione uczty dla sytych, bezczelnych tonących w rozkoszach i dorzucających nowe miliony do milionów z łez i potu kilku pokoleń i tysięcy parjasów wydobytych.....

Taki pesymizm jest prostym, naturalnym wynikiem istniejących stosunków. Ulegają mu częstokroć ludzie najprawsi, najszlachetniejsi, wysoko moralnie stojący. To też krzywdą byłoby dla przedstawicieli tego naturalnego pesymizmu, gdybyśmy ich zaliczali do jednej kategoryi z pesymistami, którzy weszli na tę drogę z przesytu, z niezaspokojonych żądz użycia, z braku wszelkich moralnych podstaw, z próżniactwa, z fizycznego i umysłowego upadku, który sami sobie zgotowali. Takie uschłe gałęzie nie zasługują nawet na miano pesymistów. Ale i pomiędzy pesymistami naturalnymi są jeszcze dwa rodzaje, bardzo różniące się od siebie, a które przed kilku laty wybornie Brunetière scharakteryzował. Są mianowicie między tymi pesymistami naprzód tacy, co się zatrzymują w połowie drogi, co widząc tryumf zła, nie przeczą istnieniu dobra, a przynajmniej spodziewają się jego nadejścia. Ci połowiczni pesymiści wglądając głębiej w sprawy ludzkości i swego otoczenia, nie są heroldami wyłącznego panowania zła nad światem, lecz owszem strażnikami i hodowcami pierwiastku dobra; choć rozgoryczeni, nie zniechęcają się; nienawidzą wielu urządzeń społecznych, ale nie zaprzeczają, że dawniej było jeszcze gorzej; obrzucają wzgardą nadużycia i występki, poddają bezwzględnej krytyce istniejące stosunki, ale zawsze mają na celu ich poprawę. Obok nich jednak wyrasta cała rzesza, która wtrącona do ciemnicy pesymizmu, przyzwyczaja się do niej tak, że nie znosi światła, przedzierającego się przez szczeliny. Razi ją ono, gniewa, nie wierzy w jego istnienie, godząc się z losem opuszcza ręce, i zamiast rozszerzyć otwór dla przepuszczenia światła i powietrza, zatyka go z dziwnym stoicyzmem i woła: nieprawdą jest światło, kłamstwem jest powietrze! Tem swojem zachowaniem się; tym brakiem energii, tą wiarą w nieunikniony fatalizm, pomaga tylko zwycięstwu tych objawów, którym walkę na śmierć i życie wydać powinna. Jest ona jak człowiek, który niewinnie sądzony nie broni się, choć ma prawo po temu, przyjmuje w milczeniu niesprawiedliwy wyrok, choć może się od niego odwołać i wreszcie dobrowolnie prawie poddaje głowę pod topór, choćby mógł ją jeszcze ocalić wysiłkiem woli lub czynu.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„GAEA“.

(*Międzynarodowa akcya artystyczna*).

Przed trzema tegodniami wszystkie zagraniczne dzienniki obiegała odezwa, w której najgłośniejsi pisarze, muzycy i artyści z całej Europy (w liczbie 38) ogłaszają, iż pragną wspólnemi siłami przyczynić się do przedstawienia „Gei“, utworu muzyka i poety Adalberta von Goldschmidta. „Ogromne to dzieło — czytamy w rzeczonej odezwie — które sprzęga środki wszystkich sztuk, aby stworzyć nową sztukę a w tak potężny sposób uzmysławia treść ogólno-ludzką, ma być przedstawione przez osobne, jedynie artystycznemi względami kierujące się towarzystwo“. Podpisani na odezwie, z pomiędzy których dość wymienić pisarzy i muzyków, jak Zolę, Masseneta, Lamoureux, Leoncavalla, Maeterlincka — proszą wszystkich miłośników wielkiej sztuki o poparcie przedsięwzięcia“. — A więc w Wiedniu, w Berlinie i w Paryżu powstały komitety, krzątające się około tej sprawy.

Sensacya niemała. Naturalnie, podobne międzynarodowe przedsięwzięcie artystyczne zdarza się po raz pierwszy. Z odezwy wszakże żadną miarą nie dociec, w jaki sposób komitety zabiorą się do urzeczywistnienia swego zamiaru. Zaszedłem tedy do Hermana Bahra, głośnego literata i redaktora „Zeit“ i pytam go:

— O cóż wam właściwie chodzi? Zresztą „Gaea“ znana mi jeno z dawnych artykułów w dziennikach, nie znajduje się pono w obiegu księgarskim.

— A tak — odpowiada Bahr — partytura nie jest wydana, tekst niemiecki poematu też nie jest dostępny, ale istnieje przekład francuzki, którym panu służę... A chodzi o to: Chcąc dzieło to wystawić w takiej np. operze wiedeńskiej, trzebaby zamknąć ją bodaj na trzy miesiące i cały czas obrócić na studya i próby. To niemożliwe. Nie ma więc innej rady, jak utworzyć osobną trupę artystyczną, którąby się wyłącznie zajęła tym utworem. Na to trzeba pieniędzy, przeto komitety mają w jak najkrótszym czasie — no. ale prawdopodobnie niemało go upłynie! — zebrać potrzebne fundusze na udziały, które w razie powodzenia będą zwrócone,

Tortury nadziei.

Przez

A. Villiers de l'Isle Adama.

O! głosu, głosu,
by krzyknąć!...
Edgar Poe.

Pod piwnicami Officiatu Saragossy, przy zachodzie słońca, czcigodny Pedro Arbuez d'Espila, szósty przeor dominikanów w Segowii, trzeci wielki inkwizytor Hiszpanii, schodził w Towarzystwie Fra redemptora i dwu służących z latarniami, ku jednemu z najbardziej ukrytych więzień. Rygiel ogromnych podwoi zgrzytnął, gromadka ludzi wstąpiła w cuchnącą grotę, gdzie przy świetle promieni napół gasnących i przy połyskach świec latarkowych oko rozróżniało między pierścieniami przykutymi do murów skrwawione narzędzia tortury, żelazny piecyk i krużż. Na słomie zmierzwionej, przechodzącej w nawóz, skrępowany więzami, z obrożą żelazną na szyi, siedział wystraszony, okryty łachmanami człowiek, wieku nie dającego się łatwo określić.

Tym więźniem nie był kto inny, jak rabi Aser Abarbanel, żyd aragoński, którego — obwinionego o lichwę i nielitościwą wzgardę ubogich — więcej niż od roku codzień brano na tortury. Lecz „zaślepienie jego dorównywało twardości jego skóry“; wzbraniał się zapamiętale porzucić wiarę ojców.

Dumny ze swego pochodzenia starożytnego, z pokrewieństw dających się wyznaczyć o kilka tysięcy lat wstecz, wyprowadzał, oparty na talmudzie, ród swój od Otoniela i żony jego Ipsiboy, żony ostatniego sędzi izraelitów... Co nadawało mu wytrzymałość na największe katusze.

Z oczyma więc pełnemi łez napływających na myśl, że ta dusza tak szlachetna, usuwała zbawienie, czcigodny Pedro Arbuez d'Espila przybliżył się do rabina i drżąc — wymówił:

— Mój synu, ciesz się, oto twe nawiedzenia ziemskie mają się ku końcowi. Jeśli wobec takiego uporu z łkaniem w duszy użyłem wielu surowych środków, to jednak nie myśl, aby braterskie me chęci poprawy ciebie, były bez granic. Jesteś zawziętem drzewem figowem, które po wielu latach niepłodności, musi być ściętem... Ale Bóg sam tylko ma prawo stanowić o twojej duszy. Może nieskończona jego łaskawość zaświeci nad tobą w ostatniej tej chwili! Miejmy nadzieję! Zdarzały się wypadki.. Niech dzieje się wola Najwyższego! — A zatem spoczywaj tego wieczora w spokoju. Jutro weźmiesz udział w *auto da fé*: to znaczy będziesz wystawiony na ciepło ogniska stanowiącego przedsmak wieczystych płomieni. Pali ono jak wiesz mój synu, z daleka tylko, śmierć każe na siebie czekać co najmniej dwie lub trzy godziny, z powodu — zapewne musiałeś słyszeć — mokrych i lód zawierających szmatek, któremi w trosce o duszę grzeszników owijamy głowę i serce całopalonego. Będzie was wszystkich tylko czterdziestu trzech. Rozważ, iż postawiony na samym końcu będziesz miał czas wezwać Boga, ofiarować mu ten chrzest ogniowy. Pokładaj więc nadzieję w Swiatłości i śpij.

Kończąc tę mowę, dom Arbuez dał znak, aby zdjąć łańcuchy z nieszczęsnego i pocałował go czule. Po nim Fra redemptor prosił żyda cichutko by przebaczył mu, to co doznał odeń dolegliwego, a pełnionego jedynie w celu zbawienia jego duszy. Nakoniec dwaj służebnicy złożyli pocałunek na twarzy rabina. Ceremonia skończyła się, latarki wycofały się z izby, więzień pozostał sam w cieniach.

Z wargami spieczonemi, obliczem wykrzywionem od bólu rabi Aser Abarbanel rzucił najpierw okiem, bez szczególnej myśli, na zamknięte drzwi. „Zamknięte?“... to słowo w głębi duszy jego wywołało jakby sen... Czy w istocie widział przed chwilą światło jakieś przekradające się niby przez szczelinę między drzwiami, a murem, do którego zwykle tak szczelnie przylegały?... Sła-

w przeciwnym razie stanowią fond perdu. Gdy się zbierze 200,000 fl., wtedy utworzy się specyalna trupa, która da przedstawienia w Berlinie, w Wiedniu, w Paryżu, Londynie i Petersburgu.

— Sądzisz pan, że to przedsięwzięcie się powiedzie?

— Nie wiem. Nie przesądzam. Zresztą — dodał po chwili — wiesz pan, co mi w całej tej sprawie najlepiej się podoba, to owo zestawienie imion. Bądźcobądź, rzecz ma cechę europejską.

Zabrałem się do czytania: „Ghéa, poëme dramatique par Adalbert von Goldschmidt, mis en français par Catulle Mendès“. Poemat ten jest dziełem, poczętem w duchu Wagnera, ma przedstawiać „ein Kunstwerk der Zukunft“, t. j. utwór, opierający się na teoryi o „sztuce przyszłości“, w myśl której poezya, muzyka, kunszt dramatyczny i dekoracyjny winny się ściśle skojarzyć i zespolić w jedną harmonijną całość. Treścią zaś poematu jest rozwój ziemi i człowieka od początku do końca, od chwili, kiedy „Gea“ wyłania się z chaosu, do chwili, gdy ludzkość, dopiąwszy ostatecznego celu, spełniwszy najwyższe swoje zadanie, przeszedłszy wszystkie szczeble ewolucyi, wraz z ziemią-matką zapada w otchłań nieskończoności i wraca tam, zkąd wyszła, na łono prabytu. Poemat wysoce filozoficzny dzieli się na trzy części, z których każda liczy trzy akty i zapełnia cały wieczór na scenie.

Część I. Chaos. „Gaea“, alegoryzowana w postaci kobiety, zwalczywszy rozhukane demony ognia i wody, poczyna byt na wezwanie ducha wszechświata Eona, który jej rzecze: „Wtedy dopiero, gdy w tobie zrodzi się świadomość celu, wstrzymaj swój lotny bieg i spocznij, boś już dojrzała do wysokiego przeznaczenia światów“. Eros, duch miłości i życia, chwyta ją w objęcia; w gorącym uścisku, ziemia promienieje i cudne życie w krąg krzewi się i rozwija. I człowiek, Kadmos, budzi się w kolebce przyrody a potężny demon świadomości Epimeteusz Eimp(etheos) towarzyszy mu w życia podróży. Kadmos woła: „Chcę zbadać, co natura mrokiem osłania“

„Czem jest me życie?
Dokąd mnie gna?
Któż stworzył mnie, bym cierpiał kaźń,
Któż stworzył mnie, bym rozkosz pił?
Czyż życie śmiercią jest?
Czyż nicość kresem mym?“

Epimeteusz wskazuje mu światło. „Odpowiedź znajdziesz w sobie i stworzysz ją. Stworzysz niebo, czyściec i piekło; l'espace vide concevra sous ton etreinte spirituelle!“

Część II. Kadmos i Epimeteusz (człowiek i świadomość) widzą dokoła siebie różne złe siły i duchy, które mroczą byt uroczy i okowy nakładają na swobodną myśl i dążenie do prawdy. Kadmos przeklina Epimeteusza, iż go zdradził i obłąkał, ale dobre, świetlane duchy spieszą mu na pomoc. I zjawia mu się też Kalatea, jasna bogini, która wskazuje drogę do piękna, do prawdy i uczy go żyć. „Wracaj na ziemię. Matka we łzach cię czeka. Niechaj prawda i piękność skrzydłami ci będą“. Kadmos zaś zrywa się, burzy bałwany i bożyszcza i świetlana swoboda panuje na ziemi. „Cześć ci, o matko! Chimera i złuda nareszcie się rozwiały! Nareszcie świta dzień złoty“.

Część III. Scena przedstawia cudny fantastyczny gmach szczęścia. Chóry aniołów rozbrzmiewają: „Le monde est beau, la vie est digne aussi d'avoir été vecue“. Kadmos łączy się z Galateą, która w jego objęciach staje się kobietą, mieszkanką ziemi. Piękność i prawda urzeczywistnia się i wciela w byt ziemski. Jakoż następuje teraz błogi, najwyższy rozkwit natury i ducha. Tak więc spełnił się cel ostateczny i wtedy nadchodzi kres: Kadmos umiera, Eros ginie.

I w akcie ostatnim widzimy znowu chaos. Zrozpaczona Gaea podnosi głos błagalny i groźny. Ale smętny duch wszechświata odpowiada jej: „Nie ja jestem panem bytu. On sam swym władzcą jest i stwarza z siebie. Ja jestem tylko duchem, co krąży dokoła stworzenia, wskazuje drogi i oświeca wszystko“. Gaea znika w otchłani. Z przepaści słychać głosy: „Uciszona w pragnieniu, dokonana w nicości!“ Z świetlanej zaś wyżyny brzmi chór: „Łza otarta. Zarod świata rozkwita!“

Ogromny ten poemat, streszczony tu w rysach zasadniczych, kreślący rozwój i losy człowieka i ziemi, jest dziełem głębokiego myśliciela. Jestże jednak dziełem prawdziwego poety? I czy może liczyć na powodzenie sceniczne?

Prawda, że muzyce i sztuce dekoracyjnej nastręcza niemało przepysznych sposobności do rozwinięcia wszystkich zasobów i czarów. Jakichże cudów à la Wagnerowski „feuerzauber“ lub „Los Walkirij“ może dokazywać orkiestra tu, gdzie chodzi o zilustrowanie i malowanie walki żywotów i błogiego rozkwitu przyrody. Jakież pole dla dekoratora otwiera się tu, gdzie trzeba uzmysławiać zmiany i przewroty w życiu i w naturze!

Inna rzecz, czy taki utwór filozoficzny zaskarbi sobie względy publiczności na scenie. Poemat posługuje się ciągle alegoryami (nawet takiemi alegorycznemi postaciami, jak „Ideał“, „Trwoga“, „Kłamstwo“, „Prawda“, „Wdzięk!“) a alegorya, jak mówi Maeterlinck, „ma wprawdzie korzenie w świetle, ale szczyt jej jest jałowy“. Na scenę zaś alegorya zupełnie się nie nadaje. Dramat, aby zajął, wymaga postaci z krwi i ciała. Zresztą problematy filozoficzne w teatrze nie pociągają zazwyczaj publiczności. Bądźcobądź, jeśli muzyka odpowie wysokim swoim zadaniom, utwór ten niechybnie poruszy miłośników sztuki w stolicach, gdzie ma być przedstawiony. W każdym razie jest to przedsięwzięcie niebywałe i znaczące także pod względem społecznym. Lubo względy poboczne przyczyniły się może poniekąd do rozgłosu autora i dzieła, bo według słów Boileau'a „quiconque est riche, est tout; sans sagesse il est sage“ — jednakowoż tylko istotna sztuka zdolna jest rozerwać szranki, dzielące narody i sprawić, że najznakomitsze duchy zgodnie stanęły do apelu.

L. Sz—i.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Warszawy.

II.

(*Prasa. — Jubileusz Świętochowskiego.*)

Warszawa jest nietylko wielką męczennicą naszego narodu, jest ona również ogni-

---

biutka myśl nadziei, urojenie zbolałego mózgu, wstrząsnęła jego istotą. Powlókł się ku widzianemu, a niezwykłemu zjawisku. I leciuchno, wkładając z tysiącem ostrożnożności palec w szparę, pociągnął drzwi ku sobie... O Jehowo! nadzwyczajnym trafem sługa, który zamykał kaźń, zawcześnie obrócił klucz. Rygiel nie wszedł w zwykły otwór, drzwi otwarte!!

Rabin z największą nieśmiałością wyjrzał na zewnętrz.

W bladym mroku rozróżnił półkole murów ziemistych przebitych ślimakami schodów; naprzeciw zaś pięć lub sześć dominujących stopni kamiennych, rodzaj czarnej kruchty, która stanowiła wejście do przestronnego korytarza. Lecz z dołu ledwie kilka łuków krużganka pochwytywało oko.

Wyciągnął się tedy i zaczął pełznąć ku nim. Tak, istotnie korytarz otwierał się przed nim, ale jakże niezmiernie długi! Blade światło oświecało go: lampki zawieszone na sklepieniach błękitniały w odmierzonych przystankach, dalekie tło zlewało się w gruby cień. Po bokach na całej przestrzeni ani jednych drzwi! Z jednej strony małe otwory zakratowane przepuszczały nieco zmroku — zmroku wieczornego, tu i tam przeciętego czerwonym promieniem zachodzącego słońca. Co za przerażające milczenie!... Jednak tam, tam w głębi ciemnej jakiejś wyjście może istniało! Chwiejąca się nadzieja żyda była zarazem upartą, bo była ostatnią.

Więc nie ociągając się stąpił na płyty korytarza, tuląc się jednem ramieniem do ściany, usiłując nie wyjść z pod muru, z którego ciemną barwą się zlewał. Posuwał się zwolna, pełzał przyciskając często pierś do ziemi, wstrzymując krzyknięcie, ilekroć jaka rana świeżo urażona zabolała strasznie.

Naraz odgłos sandałów deptających kamienny chodnik doleciał jego uszu. Drgnienie go przebiegło, strach ścisnął gardło, w oczach pociemniało. Oho! już po nim, po nim na pewno! Przyklęknął pół martwy w bocznem zagłębieniu i czekał.

To jakiś famulus śpieszył się. Przeszedł chyżo, z narzędziem do szarpania mięśni w ręku, z łbem spuszczonym, straszny. I znikł. Rabin pod wrażeniem śmiertelnej trwogi, godzinę może leżał bez ruchu. W obawie jeszcze straszniejszych mąk zmienił zamiar, postanowił wrócić do groty. Ale dawna nadzieja szeptała mu w duszy, wyszeptywała to „może?“ które w najstraszniejszem położeniu wzmacnia. Cud z nim zdarzył się! Ani wątpienia! I zaczął dalej pełznąć ku możliwemu ujściu. Wycieńczony bólem i głodem, posuwał się! A ten grobowy korytarz zdawał się wydłużać tajemniczo, lecz on nieustannie posuwając się patrzył wciąż w cień, tam gdzie musiała być furtka zbawienia.

— Ach! ach! Oto znowu kroki zabrzmiały, ale teraz wolniejsze i bardziej ponure. Zarysy białe i czarne, o długich kapeluszach z zagiętymi brzegami, zarysy dwóch inkwizytorów ukazały się przed nim, oddalone jeszcze, na tle pół mroku. Rozmawiali cicho i pono różnili się w jakiejś ważnej sprawie, bo ręce ich poruszały się gwałtownie.

Na ten widok, rabi Aser Abarbanel zamknął oczy, serce jego omal nie rozparło mu piersi, przez łachmany przeniknął zimny pot agonii, pozostał nieruchomy, bez tchnienia, przyciśnięty do zimnego muru, pod promykiem lampki, błagając Boga Dawida.

Naprzeciw niego dwaj inkwizytorowie zatrzymali się w obrębie światła. Zapewne przypadkiem tylko, bezwiednie wśród zawziętej dyskusyi. Jeden z nich słuchając towarzysza, rzucił okiem na rabina! I pod tym wzrokiem, którego wyrazu roztargnionego żyd początkowo nie pojął, nieszczęsny czuł już szczypce rozpalone, szarpiące ponownie jego biedne ciało; więc znowu miał stać się jedną skargą i raną! Mdlejąc, nie mogąc odetchnąć, z powiekami drgającemi, trząsł się pod dotknięciem tego wejrzenia. Ale, rzecz dziwna zarazem i naturalna, oczy inkwizytora były oczywiście oczyma człowieka głęboko zajętego tem, co miał odpowiedzieć, pochłoniętego myślą o tem co słyszy: były weń utkwione, a jednak *nie widziały go.*

skiem jego ruchu umysłowego, literackiego i artystycznego. Poznań, Lwów, Kraków, Wilno, Kijów są bądź to stolicami poszczególnych prowincyi, bądź też stolicami zaborów, ale jedna Warszawa jest stolicą całej Polski, tej idealnej Polski, której nie dzielą miedze graniczne ani hełmy celników. Tu biorą swój początek główne prądy, które później nurtują całą Polskę, tu wychodzi największa ilość polskich czasopism, tu jest najlepszy teatr polski, tu wreszcie jest największy ruch wydawniczy, bo ztąd czerpie swój pokarm intelektualny całe społeczeństwo.

Nie należę zaiste do tych, którzy w przeszłość zapatrzeni twierdzą, że tylko dawniej dobrze było, przeciwnie, stanowczo twierdzę, że w sumie naszego życia społecznego niewątpliwie jest rzeczywisty postęp. ale przyznać muszę, że najmniej jest ten postęp widocznym w naszej prasie, zwłaszcza codziennej. Widać tu raczej cofanie się wstecz. Nie mówię tu naturalnie o stronie technicznej wydawnictw, która niewątpliwie jest ważną i pod względem której zbliżyliśmy się znacznie do Zachodniej Europy, ale mam na myśli moralną, najważniejszą stroną naszej prasy. Pod tym względem na szczęście jeszcze nie dorównaliśmy Zachodowi i prasa nasza jest bezwarunkowo moralniejszą np. od prasy paryzkiej. Mała ztąd jednak pociecha. Zajrzyjmy prawdzie prosto w oczy i powiedzmy, że powodem tego jest niezmiernie mały jej wpływ, jako prasy kraju, nie posiadającego żadnego życia politycznego. Zawsze dowcipny „Kuryer świąteczny“ (który, mówiąc nawiasem, zmartwychpowstaje pod nową redakcyą poety-dekadenta p. Józefa Jankowskiego) tak scharakteryzował to położenie, w czasie sprawy panamskiej: „Ludzie toby się u nas znaleźli, tylko, co kanału niema“.

Jako normę biorę np. obóz konserwatywny. Przed dwudziestu laty większość dziennikarzy tego obozu składała się z ludzi uczciwych, zdolnych i głęboko wierzących w prawdę wygłaszanych haseł. Jeżeli kto wtedy popierał katolicyzm w łamach pisma, to w życiu był również przykładnym i praktykującym katolikiem. Dziś znaczna część współpracowników pism codziennych — to legjon obłudników bez żadnego wykształcenia. Wszystkie nasze dzienniki jadą teraz na katolicyźmie, który wydaje im się najlepszym kluczem otwierającym kieszenie łatwowiernej publiczności. Jeden i drugi z tych panów, który na szpaltach swego pisma ciągle trzyma ręce złożone do modlitwy, poza tem śmieje się w kułak ze swoich czytelników i znanym jest z najbrudniejszego prywatnego życia. Przeciwko tej reakcyi nie wolno walczyć, nie wolno odkrywać kruchego rusztowania, na którem spoczywa konserwatyzm w prasie, bo jest ona na rękę rządowi, a wszelkiem poważnym usiłowaniom prasy postępowej stoi na drodze cenzura. Koło trzech postępowych tygodników (Prawda, Przegląd Tygodniowy, Głos), grupuje się lepsza część dziennikarzy, ale ten odłam prasy skutkiem nielitościwej cenzury narażonym jest często na jałowość. O wielu kwestyach bieżących wolno pisać prasie konserwatywnej, nie wolno zaś postępowej, która skutkiem tego wydaje się często źle informowaną, a rzecz oczywista, że i środki materyalne grają tu poważną rolę.

Należąc sam do obozu postępowego, nie chciałbym być posądzonym o stronność w powyższym zarysie, to też spieszę zaznaczyć, że w obozie konserwatywnym znajdują się dziennikarze nieposzlakowanego charakteru np. J. Kenig, K. Kaszewski, A. Pług i inni, ale ci wiekiem swoim należą do tej przeszłości, o której wyżej mówiłem.

Na tem podmalowanem tle wypuklej wyjdą te fakty, o których mam zamiar pomówić. Przed nowym rokiem asystowaliśmy tu prawdziwej orgii prospektów. Licytowano się Sienkiewiczem, bezpłatnemi premiami, godzinami wychodzenia pisma z pod prasy itd. W tej pogoni za groszem, obniżając j godność prasy, zaszczytnie wyróżniły się „Słowo“, „Prawda“ i „Głos“, które wcale się nie reklamowały; ostatnie dwa nie wydały nawet prospektu; pierwsze zaś nie przekroczyło w swoim prospekcie dozwolonych granic. Dla ścisłości dodać wszakże wypada, że „Słowo“ jest przez magnatów subwencyonowanem pismem.

W naszej prasie daje się przytem zauważyć uderzający zwrot ku Rosyanom. Do niedawna jeszcze wszelka wzmianka o dygnitarzach tutejszych, o ile nie była przez cenzurę narzuconą, nie była przez opinią tolerowaną. Dziś „Kraj“ petersburski stale zamieszcza ogłoszenia w obcym języku rosyjskim, oraz portrety i życiorysy rosyjskich rządowych osobistości. „Słowo“ z zachwytem mówi o balach, na których Karandiejew tańczy w pierwszą parę poloneza z jakąś hrabiną, noszącą polskie historyczne nazwisko, „Wędrowiec“ wreszcie posuwa się do pomieszczenia portretu i ciepłej wzmianki o starszym cenzorze Adykajewskim z okazyi jego jubileuszu!

W Warszawie wychodzi 60 pism polskich. Według terminu wychodzenia dzielą się one na dzienniki (9), tygodniki (38), dwutygodniki (4), miesięczniki (6), kwartalniki (1) i roczniki (2). Według zakresu można je podzielić na dzienniki brukowe (4), polityczne (4) tygodniki treści ogólnej (7), dla ludu (3), dla dzieci (2), ilustrowane (3), humorystyczne (3), miesięczniki treści ogólnej (2 i pisma specyalne (32). Z pism specyalnych jedno poświęconem jest sztuce, jedno religii, jedno pedagogice, jedno etnografii, sześć naukom lekarskim, cztery naukom przyrodniczym i z niemi związanym, 6 sprawom handlowym i przemysłowym, trzy rolnictwu, jedno sądownictu, cztery beletrystyce, dwa sportom i dwa modom. Tytuły pism tutejszych są następujące:

Dzienniki: Dziennik dla wszystkich, Kuryer Warszawski, Kuryer Codzienny, Kuryer Poranny, brukowe; Słowo, Wiek, Gazeta Polska, Gazeta Warszawska, polityczne; Gazeta Handlowa, specyalna.

Tygodniki: Przegląd Tygodniowy, Prawda, Głos, Niwa, Rola, Izraelita, Kronika Rodzinna, treści ogólnej; Tygodnik Ilustrowany, Wędrowiec, Biesiada Literacka, ilustrowane; Zorza, Gazeta Świąteczna, Gazeta Rzemieślnicza, dla ludu; Przyjaciel dzieci, Wieczory Rodzinne, dla dzieci; Kolce, Mucha, Kuryer Świąteczny, humorystyczne; Biblioteka roman. i pow., Tygodnik roman. i pow. Romansi Powieść, Biblioteka najc. utworów, beletrystyka; Echo muzyczne i teatralne, sztuka; Gazeta Rolnicza, Gazeta Sądowa, Gazeta Lekarska, Gazeta Cukrownicza, Gazeta Losowań, Kuryer Rolniczy, Kuryer Kolejewy, specyalne; Jeździec i Myśliwy, Cyklista, sport; Rolnik i Hodowca, Wszechświat, Medycyna, Przegląd katolicki, specyalne; Bluszcz, Tygodnik Mód, mody.

Dwutygodniki: Przegląd Pedagogiczny, Ogrodnik Polski, Wiadomości Far-

---

Istotnie po kilku minutach, dwaj dysputujący poszli dalej zwolna, rozprawiając po cichu, ku rozdrożu, zkąd więzień wyszedł. Nie widziano go!... I w strasznym wirze uczuć, nieszczęsny myślał chwilkę: „Czy już umarłem, że mnie nie widzą?“ Ohydne wrażenie wywiodło go z letargu: patrząc na mur naprzeciw siebie, sądził przez chwilę, że widzi tuż po przeciwnej stronie cudze jakieś okrutne oczy, obserwujące jego poruszenia!... Zarzucił głowę wstecz ruchem szalonym i nagłym i włosy stanęły mu na głowie!... Nie, nie, wyszeptał. Ręka jego dotknąwszy kamieni zdała sobie sprawę: to było odbicie oczu inkwizytora, które tkwiły jeszcze wświdrowane w jego źrenice; odbicie to mózg jego przeniósł na dwie plamy muru. W drogę! należało spieszyć się do celu, gdzie czeka nań wyzwolenie! podążać w kierunku cieniów, gdzie już może trzydzieści tylko kroków należy odbyć. Więc na kolanach, na dłoniach jął dalej pełzać, dalej sunąć się na brzuchu, wśród bólów. I wnet wszedł w ciemną część strasznego korytarza.

Naraz nieszczęsny poczuł zimno na grzbiecie rąk, których dłonie głaskały płytę; pochodziło ono od gwałtownego powiewu wiatru, prześlizgującego się dołem małych drzwiczek, kończących dwa mury. Ach, Boże! Cała istota nieszczęsnego zbiega doznała jakby zawrotu nadziei. Przypatrywał się im od góry do dołu, nie mogąc dobrze odróżnić ich osobnych części z powodu ciemności. Macał: ani rygla, ani zamku: - Zasuwka... Podniósł się... zasuwka ustąpiła pod jego palcem; milczące drzwi rozwarły się.

„Alleluja!“ wyszeptał w bezmiernem westchnieniu wdzięczności, teraz już stojący na progu, oszołomiony widokiem, jaki odkrył się przed nim.

Drzwi wychodziły na ogród, ogród pod nocą gwiaździstą, owiany wiosną, swobodą, życiem. Tam za nim musiały leżeć pola, ciągnące się aż ku sierrom*), których wygięte błękitne linie falowały na horyzoncie. Tam było ocalenie! — O, uciec! Biegłby całą noc tymi lasami cytrynowemi, z których dolatywała go woń. Dotarłszy gór, byłby zbawiony! Oddychał dobrem świeżem powietrzem; wiatr przywracał go do życia, płuca zmartwychpowstały. Aby podziękować Bogu, za to, że zlitował się nad nim tak łaskawie, wyciągnął ramiona przed siebie i oczy wzniósł ku gwiazdom. Znajdował się w ekstazie.

Wtedy zdawało się mu, iż widzi jak gdyby cień jego ramion zwrócił się ku niemu samemu; że czuje jakby te ramiona otaczały go, oplatały. Czy przycisnął go ktoś czule do piersi? Istotnie wysoka jakaś postać była przy nim. Pełen ufności spojrzał ku niej i stanął naraz przerażony, oszalały, z okiem bez błysku, drżący, wydąwszy policzki, z pianą cieknącą z ust.

— O zgrozo! Ujrzał się w objęciu wielkiego inkwizytora, czcigodnego Piotra Arbueza d'Espili, patrzącego nań oczyma pełnemi łez, z wyrazem dobrego pasterza, odnajdującego zbłąkaną owieczkę!

Ponury kapłan przyciskał do serca nieszczęsnego męczennika z tak potężnym wybuchem litości, że żądła włosienicy mniszej skaleczyły pod sutanną jego pierś dominikańską. I podczas gdy rabin Aser Abarbanel z oczyma zwróconemi pod powiekami charczał ze zgrozy jakby skuty obręczą i zaczynał rozumieć niejasno, że wszystkie fazy strasznego wieczora były tylko *przewidzianemi torturami, za pomocą nadziei.* Wielki Inkwizytor z akcentem kolącego wyrzutu i z wejrzeniem zdziwionem, szeptał mu do ucha gorącem tchnieniem:

— Jak to, moje dziecię! W przeddzień, może, zbawienia... chciałeś nas opuścić?!

Z fran. *W. Bugiel.*

*) Sierra — gora.

meucentyczne, Kuryer Kolejowy, specyalne.

Miesięczniki: Ateneum, Biblioteka Warszawska, treści ogólnej; Zdrowie, Przyjaciel Zwierząt, Kronika Lekarska, Przegląd Techniczny, specyalne.

Kwartalniki: Wisła, spec.

Roczniki: Pamiętnik Fizyograficzny, Pamiętnik Tow. Lekarskiego, specyalne.

Rzecz oczywista, że nie będę podawał charakterystyki wszystkich tych pism. Z góry wyrzucam za nawias pisma specyalne, o których niech sądzą specyaliści, dla których są wydawane. Zrobię tu tylko jedną uwagę że tak znaczna ilość pism specyalnych świadczy bądź co bądź o wysokiej kulturze społeczeństwa. Narzekają wprawdzie, nie bez słuszności, że pisma te niżej stoją od wydawnictw zagranicznych, ale i tak możemy się szczycić, że choć tyle w tak ciężkich warunkach robimy.

Wszystkie dzienniki polityczne są w rękach konserwatystów. Niema w tem nic dziwnego, bo cenzura nie pozwoliłaby na istnienie postępowego codziennego pisma, gdyby nawet znalazły się fundusze na założenie takowego. Ale w konserwatyźmie tym są pewne odcienia, mianowicie „Słowo" i „Gazeta Polska" są redagowane bardziej po europejsku i zupełnie odpowiadają zagranicznym pismom konserwatywnym. Nie znajdziecie tu jak np. w „Kuryerze" lub „Dzienniku Poznańskim" oceny zjawisk z punktu widzenia 5-ciu przykazań kościelnych wyłącznie, ani też jaskrawego wymyślania na przeciwników, spotkacie natomiast gruntowne artykuły, tylko oświetlające każdą sprawę z punktu widzenia międzynarodowego konserwatyzmu. „Słowo" posiada najwybitniejszych w obozie konserwatywnym współpracowników politycznych J. Keniga i Tadeusza Smarzewskiego, za to strona literacka szwankuje mocno; kieruje nią ks. Chełmicki, figura czysto operetkowa. „Gazeta" natomiast, słaba bardzo pod względem politycznym, pomieszcza dość często wybitne artykuły literackie i posiada w redakcyi jedynego w Warszawie niezależnego krytyka teatralnego p. Wł. Bogusławskiego. „Wiek" i „Gazeta Warszawska" uwzględniają więcej od poprzednich interesy prowincyonalne, są zresztą prowadzone fatalnie. Są to organy szlachty, podczas gdy „Gazeta Polska" jest uważaną za organ wielkiego mieszczaństwa, a „Słowo" — za „porte parole". arystokracyi. W kierunku ugody z Rosyą, najdalej posunęło się „Słowo".

Z pism brukowych „Kuryer Warszawski" zajmuje pod względem poczytności pierwsze miejsce w prasie wszystkich trzech zaborów, liczy bowiem około 30,000 prenumeratorów. Pismo to prowadzonem jest zupełnie po europejsku: ma najświeższe telegramy, dwa wydania dziennie i pomieszcza stałe korespondencye ze wszystkich stolic europejskich; dział wiadomości miejscowych również nie wiele pozostawia do życzenia. Chcąc być pismem najpopularniejszem, musi opuścić wiele z wymagań literackich, to też pod tym względem stoi bardzo nisko. Rywalizuje z nim „Kuryer Codzienny", ale bezskutecznie. Jako siłę przyciągającą posiada Bolesława Prusa w charakterze prywatnego współpracownika. Oba te pisma są w ręku najbogatszych firm wydawniczych S. Lewentala oraz Gebethnera i Wolfa; tworzą one też syndykat, który nadużywa swojej siły. Kto nie wydaje książek u nich, lub nie należy do ich kliki, ten w świecie literackim nie może wypłynąć na wierzch. Obszernie pisał o tem C. Jellenta w swej „Spowiedzi Zbira" dokąd ciekawych czytelników odsyłam po szczegóły; ustęp poświęcony syndykatowi „Kuryerów" należy do najsłuszniejszych w tej książce. „Kuryer Poranny" i „Dziennik dla wszystkich" są pismami w rodzaju paryskiego „Petit Journal": są one przeznaczone dla czytelników o najniższej kulturze umysłowej, zajmują się wyłącznie skandalami, a w odcinkach drukują sensacyjne powieści, w których co numer musi być przynajmniej jedno morderstwo; można tam czytać sensacyjne ustępy w rodzaju np następującego: „jedną ręką objął ją wpół, a drugą zawołał o pomoc!" Prasa ta cała brukowa jest pod względem przekonań bezbarwną. Pali ona naturalnie kadzidła na ołtarzu konserwatyzmu, ale na chłodno, dlatego tylko, że tego chcą czytelnicy. Nie kieruje ona opinią, lecz idzie za nią. Redaktorzy i stali współpracownicy tych pism, to częstokroć szumowiny świata literackiego. Z tygodników treści ogólnej „Izraelita" poświęcony jest obronie interesów żydowskich, „Rola" zaś i „Niwa" są tygodnikami antysemickiemi, ultrakatolickiemi. Z nich „Rola" jest silniej akcentowaną i niepozbawioną pewnych zasług, „Niwa" zaś cieszy się fatalną opinią z powodu osoby głównego kierownika A. Nowickiego, jednego z najsmutniejszych przedstawicieli dziennikarstwa tutejszego. „Rola" jest usposobiona wojowniczo nawet względem obozu konserwatywnego. „Niwa" podlizuje się, gdzie i jak może. „Kronika Rodzinna" jest mdłym przedstawicielem interesów ogniska rodzinnego. Mało znana i mało czytana pozbawioną jest zupełnie wpływu. Z trzech tygodników postępowych „Prawda" jest więcej organem naukowym, „Głos" pismem najbardziej żywotnem, najbardziej zajmującem się sprawami bieżącemi i posiadającem najobfitszy dział korespondencyi, „Przegląd Tygodniowy" zaś z wyjątkiem jednego nie posiada żadnego zdolnego współpracownika; pracują tam głównie siły bardzo młode, które z czasem mogą się wyrobić na bardzo wybitnych literatów, ale dziś sprawiają, że pismo to jest bardzo mało poważnem.

Od pism ilustrowanych niewiele więcej wymagać można niż dobrych ilustracyi. Znać też to po ich ubogiej treści. Trzyma tu prym „Tygodnik ilustrowany". Wędrowiec" i „Biesiada" zapuszczają wędkę na księży i skutkiem tego przesadzając w bigoteryi stają się zbyt często śmiesznemi. Pisma dziecinne zawiele, zdaniem mojem, poświęcają miejsca beletrystyce, pozatem jednak nie są ani gorsze ani lepsze od innych wydawnictw w tym rodzaju.

Gdybym słowa te pisał z innego zaboru, to przedewszystkiem zwróciłbym uwagę na literaturę ludową, bo w tem, co chłop nasz chce czytać, przebija się jego dusza, a gdzież leży przyszłość narodu, jeżeli nie w niezbadanej dotąd duszy chłopskiej? Ale u nas! Cenzorzy wiedzą dobrze, zkąd wiatr wieje, i na literaturę ludową baczną zwracają uwagę. To też w tych warunkach pisma ludowe są tem, czem być mogą: suchym materyałem do samokształcenia, możliwie przytem popularnym. W zakresie tym dobrze spełniają one swoje zadanie, dzięki poparciu lepszej cząstki naszej inteligencyi. Ale o poruszaniu żywotnych zagadnień nie może być mowy. Prócz cenzury rządowej podlegają one jeszcze cenzurze kleru, dzięki czemu i w nich czasem można spotkać jednostronność dewocyjną.

Z tych kilkudziesięciu wierszy nie można oczywiście powziąć wyobrażenia o całokształcie naszego dziennikarskiego życia. Nie o to też mi chodzi. Chciałem postawić pierwszy krok na drodze obznajmiania czytelników zaboru pruskiego z objawami życia we wszystkich dziedzinach tak, jak się ono pod rządem rosyjskim kształtuje. A czyż prasa nie jest jednym z najważniejszych jego objawów? Nie jestże ona pulsem życia społeczeństwa, a jeżeli nie jest, nie powinnaż nim być? U nas być nim nie może, ale jest zato ciągłym protestem bujnego życia narodu przeciwko krępującym je więzom. Naród gnębiony od wieku, któremu wróg usiłuje zabrać na każdym kroku język i odrębną kulturę, samem istnieniem tak obfitej publicystyki zaprzecza powodzeniu jego z górą stuletniej pracy. Prasa nasza jest szarą często, bezbarwną; brak w niej śmiałego polotu, bo ołówek cenzora gra tu rolę strychulca lub rolę kata króla Minosa, który każdego gościa dopasowywał do łoża Prokrusta — ale taką, jaką jest, jeszcze jest pożyteczną. Jest ona przedewszystkiem „porozumiewaniem się więźniów za pomocą pukania w ścianę" jak scharakteryzował ją niedawno jeden z najwybitniejszych publicystów. Dla tego to wiele rzeczy mieszczących się w naszych pismach niedostępnych jest dla innego czytelnika, bo my nauczyliśmy się przedewszystkiem czytać pomiędzy wierszami...

Obraz ten nie byłby zupełnym, gdybym nie wspomniał o jubileuszu weterana postępu, obchodzonym w końcu r. z. Mówię tu o Aleksandrze Świętochowskim. Dzięki niedołęstwu komitetu urządzającego nie miał ten obchód tak szerokich rozmiarów, jakie mieć był powinien. Jednak i tak poważne robił wrażenie. Jubilatowi wręczono srebrny wieniec z liści laurowych, adres, pokryty wieloma podpisami, a prócz tego ma być wydana księga jubileuszowa i utworzonem stypendyum jego imienia. W obchodzie przyjęli udział wybitniejsi literaci z obozu postępowego, oraz delegaci młodzieży polskiej niemal ze wszystkich uniwersytetów.

Można z wielu względów nie zgadzać się ze Świętochowskim, można niejednokrotnie działalność jego surowej poddawać krytyce, ale trzeba hołd oddać prawdziwej zasłudze tego wytrwałego szermierza postępu, czystości jego zasad i mocy charakteru. Ma on za sobą 25 lat pracy w zawodzie, który najbardziej ludzi wyczerpuje. Przez ten czas nie było najbrudniejszego zarzutu, którego nie rzuciliby mu w twarz dwulicowi kierownicy naszej opinii publicznej i którego nie powtarzałaby za niemi spodlona gawiedź. A on przetrwał to wszystko. To też postać ta jak ze spiżu ulana głową wyrasta ponad poziom naszych dziennikarzy. Imię jego nazawsze związanem będzie z epoką przewrotu w pojęciach, radykalnego oczyszczania miazmatami wstecznictwa przesiąkniętego gruntu, zorania pola pod nowy posiew i przygotowania gruntu dla nowych idei. Nie chcę sądzić o tem, czy Świętochowski dramato- i powieściopisarz. czy Świętochowski filozof przejdzie do historyi, ale to wiem, że będzie on w niej zajmował poczesne miejsce jako reformator, jako apostoł wolnej myśli, wolnego rozbioru i krytyki. Niech ten wieniec laurowy wręczony mu niedawno zagoi boleść, którą mu sprawiały dość często rzucane wieńce cierniowe.

Zbisław.

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, 26 lutego.

(*Wiec agraryuszów. — Junkierska tężyzna. — Bezrobocie szwaczek.*)

Zjazd Związku rolniczego, który się odbył 18 lutego w Berlinie, narobił wiele hałasu... w cyrku Buscha, gdzie obradował. Kongres ten nazwałbym przedstawieniem cyrkowem, lecz jako zwolennik własności w literaturze nie chcę uzurpować tego pomysłu, użytego przez jednego z uczestników zjazdu, von Diesto, najbardziej hałaśliwego ze wszystkich obecnych tam krzykaczów. Tegoroczny kongres odznaczył się wogóle jedynie bogactwem stylowem. Styl ujawnił się w okrzykach oburzenia, na które składały się dzikie dźwięki w rodzaju np. „pfui".

Głęboki zmysł literacki wystąpił w porównaniach, któremi przeplatano mowy. Walka społeczna n. p. sprowadza się do walki wiejskiego gruntu przeciwko „kurzącemu asfaltowi miejskich trotuarów“. Piękną licencyą poetycką jest utożsamienie wszelkich wrogich związkowi potęg z żydami; żydem jest rząd, prasa, parlament, giełda, handel, kapitał i radykał. Niemniej bujna fantazya wyrażała się w tytułowaniu prowodyrów Związku, hrabiów i baronów, „biednymi kmiotkami“. Dobrą też była stylizacya depesz. Tak np. austryacki antysemita milioner Schönerer, zapytał melancholijnie przez druty telegraficzne, kiedy się wreszcie skończy „die bismarcklose Zeit“. Literackiemi perłami były kwieciste wymyślania, któremi raczono szczególnie ministrów. Większość wyrazów była oczywiście obcą „asfaltowi miejskich trotuarów“ i trąciła nieco wiejską idyllą wschodniopruskiej tężyzny. Nie powinno też nikogo dziwić, że tegoroczny zjazd Związku niemieckich rolników sprawił na całą prasę i czytającą publiczność przygnębiające wrażenie. Jak się okazuje, zdołał związek ze złotych gór przyrzeczonych „kmiotkom“ dać uczestnikom bardzo mało, jakkolwiek obiecuje w bliższej przyszłości zrealizować swe obowiązania. Zebranie zagaił podobnie jak w przeszłym roku v. Poletz. Cała jego mowa była wyrazem protestu przeciwko macoszemu traktowaniu rolnictwa przez rząd i społeczeństwo. Niemcy wciąż mienią się państwem przemysłowem, lubo dobrobyt tego państwa zależy od stanu roli. Traktatami handlowemi parlament i sfery rządzące odstręczyły od siebie Związek. Złe da się jednak naprawić, jeżeli projekt Kanitza zostanie urzeczywistnionym. Dopóki to nie nastąpi, Związek rolniczy pozostanie w opozycyi do obecnej polityki wewnętrznej rządu. Ponieważ przy tych słowach rozległa się burza, połączona z grzmotem tupań, okrzyków i oklasków, mówca skorzystał z entuzyastycznego nastroju zebrania dla polecenia kasy Związku łaskawej pamięci członków. W 1898 r. mają nastąpić powszechne wybory. „Pieniądz to potęga i bez pieniędzy nie ma wyborców“ — wyznał szczerze mówca. „Każdy wdowi grosz jest miłym Związkowi, lecz złote sztuki są jeszcze bardziej pożądanemi“. Mowę swoją zakończył mówca kilku fajerwerkami rewolucyjnemi, skierowanemi w stronę sfer rządzących. Dyrektor Suchsland odczytał sprawozdanie o działalności Związku, nadmieniając, że związek ten poniósł wprawdzie porażkę podczas debat nad traktatem handlowem, ale pocieszać się może tem, iż niejednokrotnie już zwyciężony dyktował prawa zwycięzcy. Działalność jego bez skutków nie pozostanie, tembardziej, iż posługując się zdobyczami nauki, drukowanem i ustnem słowem szerzy swą propagandę. Ośmnastu urzędników prowadzi stałą agitacyę i zwołało w ostatnim roku 770 zebrań. Liczba członków wynosi około 190 tys. W ostatnim roku wykreślono 24 tys. osób, lukę tę jednak zapełniło 25 tys. nowych rekrutów. Na polu polityki Związek nie doznał wielkiego powodzenia. Bez żalu pożegnano Capriviego, lecz i jego następca nie zdołał dotychczas zaskarbić sobie względów Związku. Rada stanu odrzuciła projekt Kanitza, zalecając drobne środki, których skuteczność jest wątpliwą. Wogóle ministrom, dzierżącym obecnie ster rządu, zbywa na energii i inicyatywie. Sfery wpływowe zapomniały, iż sprawy ekonomiczne stanowią właściwie kwestyę dobrobytu organizmu państwowego. Rolnictwo zasługuje na tem większą opiekę, iż przedstawiciele jego są pierworodnym stanem państwa.

Taką samą była mniejwięcej treść pozostałych mów. Ton jednak był mniej umiarkowanym. Drugi prezydujący milioner Rösicke wygłosił jeremiadę na temat nędzy rolników; przytoczone cyfry nie były zresztą przesadzonemi, gdyż dowodziły iż 35 procent szląskich chłopów uprawia swój zawód z deficytem. Tu można tembardziej przyznać racyę mówcy, iż przed kilku tygodniami najlepszy znawca rolnictwa, prof. Sering, oznajmił między innemi, iż 100 tys. drobnych rolników Niemiec stoi nad przepaścią ruiny. Wszelkie inne konsekwencye mówcy były fantazyą, wylęgłą w bujnej wyobraźni rozgoryczonego agraryusza. Kapitał, gdy odrywa się od ziemi i prowadzi żywot samodzielny, staje się, zdaniem mówcy, plagą. Projekt Kanitza opiera się na germańsko-chrześciańskim poglądzie na świat. Byłby zbawieniem dla niemieckiego narodu, bo gdyby nawet spowodował zwyżkę wydatków o 25 fen. na głowę dziennie, powiększyłby dochody rolnictwa o 3 miliardy marek rocznie. Następnie mówca potępił chwiejność kanclerza, który już kilkakrotnie obiecywał zwołać międzynarodową konferencyę w kwestyi bimetalizmu, co mu nie przeszkodziło niedawno wystąpić w Reichstagu z mową, którą można uważać za odprawę. Mówca protestował przeciwko podejrzywaniu Związku o brak prawomyślności. Tylko chłop jest wiernym poddanym i chrześcianinem.

Najsilniej napadali przemawiający na obecnego ministra rolnictwa von Hammersteina. Zażądano od niego, by cofnął obelżywe wyrazy, uwłaczające honorowi Związku. Zaprojektowano nawet, by ministra poddać bojkotowi; żaden z rolników nie powinien przestąpić progów jego mieszkania, dopóki minister ze skruchą nie oznajmi: *„peccavi“*. Największe owacye przypadły w udziale antysemicie Libermannowi, który w parlamencie uchodzi za najnieprzyzwoitszego warchoła po Ahlwardcie, wywiezionym bezpowrotnie do Ameryki przez impresaria. Tupano, krzyczano i machano czapkami w powietrzu na powitanie żydożercy i wrzekomego przyjaciela ludu. Wreszcie postawiono rezolucyę, która została jednogłośnie przyjętą. Pierwszy punkt zawiera żądanie wprowadzenia projektu Kanitza, przy którym Związek obstaje niezmiennie wbrew rezultatom debat w Radzie stanu. W drugim punkcie podkreślono kwestyę waluty. We wszystkich krajach o złotej walucie, zdaniem Związku, rolnictwo znajduje się w stanie upadku. Bez podniesienia ceny srebra nie sposób przyjść z pomocą rolnictwu. Rząd powinien przedsięwziąć środki dla zwołania międzynarodowej konferencyi, gdy Francya i Ameryka lub Anglia zgodzą się przysłać swych przedstawicieli. Wreszcie trzeci punkt żąda reformy giełdy. Prezydujący, dziękując w imieniu zebranych Buschowi za lokal, wyraził życzenie, by wdzięczni agraryusze często odwiedzali tę piękną i użyteczną instytucyę. Temu słusznemu żądaniu prezydyjucego stało się zadość tego samego dnia, gdyż, jak zapewniają gazety, w pierwszych rzędach cyrku widniały zielone kapelusiki o sterczących piórach i sumiaste wąsy.

W przemyśle konfekcyjnym, jakeśmy przepowiadali, wybuchnął strejk. Przeszło 200 tysięcy „konfekcyonez“ zawiesiło robotę. Opinia publiczna oświadczyła się za żądaniami męczennic pracy. Ada Olberg, córka lubianego przy dworze, znanego podróżnika prof. Güssfelda wydała rozprawę, w której przedstawiła smutne stosunki domowego przemysłu konfekcyi. Cała prasa, nie wyłączając pism gadzinowych, wydała okrzyk oburzenia. Zewsząd rozległy się wyrazy sympatyi dla wyzyskiwanych kobiet. Z polecenia rządu Dr. Sprenger prowadził pertraktacye z przemysłowcami, burmistrz Zelle wdał się również w tę sprawę, chcąc usunąć zatarg tak bardzo kompromitujący stolicę. Magistrat Würzburgu oświadczył na jednem ze swych posiedzeń sympatyę dla strejkujących. Przemysłowcy jednak nie ustępowali. Najokropniejsza nędza zapanowała w szeregach robotnic. Lombardy, przepełnione maszynami do szycia, przestały już wydawać na takowe zaliczki. Dopiero pod parciem opinii publicznej, która zresztą na polu ofiarodajności ujawniła się niezbyt dotykalnie, zawarto pokój na warunkach mniejwięcej dogodnych dla obydwu stron.

M.

Z estrady i sceny.

„Komedyanci“,

komedya w 4 aktach, p. Paillerona.

Jakże odmienną jest dramatyzowana satyra Francuzów od ponurej przygnębiającej satyry skandynawskich, a po części i rosyjskich autorów. Tam Horacyuszowskie uśmiechy, cynizm w szampanie kąpany, obojętna pogarda takiego Petroniusa z „Quo vadis“ — tu ból gryzący, głucha beznadziejność, niemiłosierne rozdrapywanie bolów społecznych, lub wojownicze surmy przy zbutwiałych murach Jerychonu. Co za zgrzyt straszny we „Wrogu ludu“ Ibsena, — co za ból rozdzierający w „Intratnej posadzie“ Ostrowskiego! Lecz Pailleron w „Komedyantach“ nie zaciska pięści i śliną obrzydzenia nie rzuca w oczy narodowi swojemu, lubo to, co opowiada zdziwionym słuchaczom, jest historyą ogólnej korupcyi na wyższych szczeblach hierarchii społecznej. Prrasa, nauka, sztuka — wszystko muł i trzęsawiska pokryte sztucznemi kwiatami blagi i frazesu. Klucz talentu i pracy, otwierający wrzeciądze wielkiej świątyni sławy i powodzenia, tylko garść wybranych zdobywa, — więc cóż? Ambitna miernota wytrychem kłamstwa, fałszu i sztucznej reklamy odsuwa rygle i w święte progi wstępuje. Uczciwym trudem wywalczyć sobie majątek i stanowisko, to praca zmudna, niewdzięczna i zawodząca często. Więc podstępem pnie się na wyżyny zgraja sprytnych karyerowiczów i króluje tam, gdzie tylko prawdziwa zasługa tronować powinna.

W sztuce Paillerona zachwałe karyerowiczostwo zorganizowane jest w spółkę lekarzy, prawników, artystów, literatów i dziennikarzy, ozdobioną firmą „Tomaty“ (kartofel południowy). Spółka ta ma na usługi swój organ, a raczej trąbę reklamy. Biada dyrekcyi teatru, która odrzuci sztukę Tomatczyka. Biada tej jury, która nie przyzna medalu obrazom lub rzeźbom Tomaty. Wzajemna pomoc jest podstawową zasadą stowarzyszenia młodych aspirantów sławy i fortuny, a czy tam przy tem wynoszeniu miernot padnie ofiarą uczciwość, o to nie pyta Tomata. W ten sposób otwiera sobie wrota parlamentu, wstępuje do „Nieśmiertelnych“, zdobywa tłuste posady i urabia opinię. Wielkie słowa! wielkie ideały! to tylko rakiety dla oślepienia tłumów, — w warsztacie Tomaty jest tylko Bóg jeden: karyera. Oto staje przed nami poeta i mówi o dramacie swoim: Napisałem sztukę, lecz dyrektorowi nie podobała się tendencya. Przefarbowałem więc utwór z czerwonego na biały, zaprawiłem sosem, którego łaknie chwilowy gust szerokiej publiczności i w mig jestem wielkim i popularnym autorem. Zaparłem się przekonań, obniżyłem artyzm dramatu, lecz któż tam się troszczy o drobnostki takie!

Tak prawią „Komedyanci“, a w całym tym tłumie cynicznych wielbicieli złotego cielca, w całej tej wrzawie instynktów brutalnych jest tylko dwóch ludzi z ogniem

ideału w duszy: Jeden zmarnowany malarz — przez kolegów swoich „suchym werniksem“ nazwany, — i młodziutki rzeźbiarz, kochający piękno i prawdę. Oto bohaterzy Paillerona, a w okół snują się znane typy kobiece o Maupassantowskim lub Prevostowskim zakroju. Żona bachantka, dla której rozkosz lubieżna stanowi pierwszy paragraf etyki, i młodziutka „demi-vierge“ odradzająca się rzekomo pod wpływem wielkiej miłości. A nad tem wszystkiem unosi się ironicznym uśmiechem skrzywione oblicze poety.

Mistrzem charakteryssstyki nie jest Pailleron. Każda z jego postaci posiada wprawdzie swoją indywidualną fizyognomię, ale w tych lokalnych barwach brak subtelniejszego cieniowania. Nie chcę tu bynajmniej przemawiać w imię owej naturalistycznej drobiazgowości, owej psychologii kropki nad „i“, prezentowanej np. w pierwszym okresie Hauptmannowskiej twórczości, — lecz w typach Pailleronowskich trudno mi nieraz odnaleźć pulsujące życie. Swiat „Komedyantów“ żyje niewątpliwie jako całość i w umysł się wpija soczystą barwą zasadniczą, — ale niektórzy z bohaterów jego odsłaniają tylko jakiś jeden rys, jeden typowy kątek duszy, a życie składa się przecież z obfitej skali tonów i półtonow.

Natomiast architektura Pailleronowskiego utworu mało tylko pozostawia do życzenia. Gdzieniegdzie nuży nieco żywioł rezonerski, po za tem jednak akcya rozwija się prawidłowo, naprężenie dramatyczne rośnie, dyalog wytworny lśni się blaskami dowcipu, epizodyczność nie psuje konstrukcyi, a nici intrygi plączą się zręcznie bez sztucznej, torturującej sensacyi w guście Ohneta lub Sardou. Mimo wszystkich zalet jednak, dramat ten jest zanadto p a r y z k i, i dla tego przed publicznością polską wyrasta tam niejeden znak zapytania, niejedna aluzya lokalna mija bez wrażenia i nieco świeżości, aktualności i siły zginęło między Paryżem a Poznaniem.

Wystawa „Komedyantów“ na scenie naszej wykazywała znowu ten nieuleczalny nałóg dorywczości i dyletantyzmu, na który tak często zwracałem uwagę w łamach „Przeglądu“. Scenerya aktu pierwszego odznaczała się wprawdzie względną starannością, lecz za to urządzenie salonu w akcie drugim i dekoracye aktu IV raziły banalnością niesmaczną. Wiecznie jeden i ten sam garnitur mebli, jedne i te same tapety, jedne i te same akcesorya. Od lat już wielu ani jeden sprzęt nowy nie przybył do rekwizytorni teatralnej. Czyby nie można z którymkolwiek z naszych fabrykantów mebli zawrzeć umowy o wypożyczanie sprzętów potrzebnych. Czyby nie można postarać się rok w rok o jednę przynajmniej nową dekoracyę? Wiadomo przecież, że dziś nader tanim kosztem ubrać można scenę. A jeżeli istotnie dyrekcya z powodu niezręcznej administracyi nawet na mały wydatek zdobyć się nie umie, to przy odrobinie smaku i fantazyi możnaby nawet w obecnych warunkach wprowadzać pewną rozmaitość w dekoracyach. Ale niedbalstwo i jakieś lekceważące „byle zbyć“ wgryzło się w cały organizm teatralny i rady na to nie będzie, dopóki p. Dobrowolski stoi na czele sceny.

Z artystów biorących udział w „Komedyantach“ tylko p. p. W o s t r o w s k i i Ł a s k i odegrali role swoje bez zarzutu. Pierwszy rozwinął wiele szczerego liryzmu i stworzył typ jednolity, owiany prawdziwem tchnieniem poezyi. Drugi, jako „suchy werniks“, opracował bardzo starannie rolę starego entuzyasty, któremu zawody życiowe nie wyziębiły w duszy miłości piękna i dobra. Zewnętrzna charakterystyka i mimika jego zdradzały wytrawnego rutynistę, a w słowach drgało wiele niekłamanego uczucia. Gra pana K n a p c z y ń s k i e g o w roli sprytnego dziennikarza, zdobywającego podstępem mandat poselski, miała momenty porywającej brawury, — że tylko wspomnę scenę oratorskiego popisu w akcie trzecim, — ogólny rysunek jednak był nieco blady i niektóre sceny niewyzyskane. Pan G r a b o w i e c k i nie dorósł wcale zadaniu swojemu. Gra jego była wymuszoną i raziła podrabianą dystynkcyą.

Z kobiet występujących w „Komedyantach“, jedna pani J a k u b o w s k a, — kopciuszek sceny naszej, odtworzyła nader korzystnie maleńką rolę zalotnej damy paryzkiej, p. V e r n o n natomiast raziła gdzieniegdzie fałszywemi akcentami i głosem zardzewiałym, a p. O g i ń s k a, prezentująca się zwykle korzystnie w roli podlotków o rodzimym zakroju dworków szlacheckich, tu na posadzkach nadsekwańskiego salonu była nieszczerą, sztywną i niezręczną.

W. R.

Drugi symfoniczny koncert.

(21 lutego r. b.)

Poważna liczba na piątkowym koncercie zgromadzonych słuchaczów była najlepszym dowodem, że p. Schmidt podejmując na nowo chwalebną myśl urządzenia regularnych koncertów symfonicznych trafił do gustu i przekonania muzykalnej publiczności poznańskiej.

Uwerturą Enna, młodego duńskiego kompozytora, żyjącego obecnie w Kopenhadze, rozpoczęły się obecnie popisy orkiestry. Utwór pisany w stylu nowo-niemieckiej szkoły przypomina nadto w instrumentacyi i pomyśle wstęp do Wagnerowskiego Lohengrin'a. Znaczne trudności, które tu kompozytor instrumentom smyczkowym powierzył nie odznaczyły się w wykonaniu poznańskiej orkiestry ani precyzyą ani też czystością intonacyi. W dalszych produkcyach usterki te znikały a mojem zdaniem możnaby uniknąć np. niejednego dysonansu, gdyby p. Schmidt częściej przekonywał się o stroju orkiestry.

Następnie odegrano Symfonię Goldmarka „Wiejskie wesele“. Utwór składa z 5 luźnie powiązanych części, przypominających formę Suity i odznacza się wielkiem bogactwem pięknych melodyi z fantazyą opracowanych oraz świetną i barwną instrumentacyą; szkoda tylko, że charakter muzyki ludowej nie wszędzie zachowany. Wykonanie symfonii zasługuje na pochwałę. Również dzielnie wykonała kapela uwerturę duńskiego kompozytora Gadego „Wrażenia z poezyi Ossiana“ i „Letnie echa“, ustęp z dramatu muzycznego Wagnera „Zygfryd“, utwór pełen tajemniczej i głębokiej poezyi podsłuchanej na łonie przyrody. Interesujący koncert zakończył się świetną Tarantellą Liszta, opracowaną na orkiestrę przez Müller-Berghaus'a, — którą kapela z werwą odegrała, zyskując szczere oklaski słuchaczów.

W referacie z pierwszego koncertu umieściłem w końcu prośbę do p. Schmidta, dyrygenta orkiestry, żeby obok Węgrów i Moskali uwzględnić raczył również i polskich kompozytorów. Ponieważ w drugim koncercie, jak program poucza, p. Sch. odnalazł już Danię, więc mam nadzieję, że z czasem odwiedzi też Polskę, choć ta podróż przez Danię do Polski trochę z drogi.

Edwin Jahnke.

Na Wyłomie.

(Brak inicyatywy w społeczeństwie. Kolonje wakacyjne. Podwójna korzyść.)

Już nieraz gorzko skarżyłem się na to, że każda akcya na poznańskim bruku, czy to politycznej, czy społecznej, czy filantropijnej, czy wreszcie choćby towarzyskiej natury, musi koniecznie nosić firmę oligarchów naszych. Ludzie bądź to przyzwyczaili się do tej opieki i uwierzyli w własne niedołęztwo, bądź też lękają się zemsty senatorów, mruczących wcale niedwuznacznie pod nosem: „Skoro żaba się ozwała, wnet kamieniem w łeb dostała.“ Otóż tego kamienia lękają się żaby i pokornie łeb do wody chowają, póki ten lub ów z możnowładców naszych nie podniesie batuty i nie da sankcyi swojej żabiemu koncertowi. Tak żyjemy już całe lat dziesiątki, każdy ruch społeczny staje się wyłącznym monopolem garści kapelmistrzów, a zmysł inicyatywy osobistej w szerokiej publiczności tępieje i obumiera. I ta bierność, — to sztucznie wykarmione uczucie bezsiły tak się rozwija w naszym biednym kraju, że zdarzyło mi się nieraz słyszeć ludzi młodych, bogatych w rozum i zahartowanych w pracy o chleb, jak melancholijnym głosem deklamowali: Co to się stanie gdy umrze pan X! Co to będzie gdy śmierć wytrąci batutę z ręki pana Y! W chaos okropny wszystko się zamieni, gdy nam jubileuszowych i niejubileuszowych gerontów nie stanie.“ A więc zabór pruski stoi małą gromadką zapleśniałych dyrygentów i runąć musi wraz z nimi?! Więc społeczeństwo nie czuje się na siłach, aby wydać nowych ludzi, nowych organizatorów i nowych sterników?! Oto rezultaty moralne tego systematycznego umałoletniania narodu i duszenia każdej samodzielnej inicyatywy, ni noszącej stempla panującej koteryi i tej lub owej firmy uświęconej.

Z tym wpływem demoralizującym walczymy od chwili narodzin „Przeglądu“, — walczymy z nim we wszystkich dziedzinach życia społecznego, a lubo wiecznie spotyka nas podejrzenie ukrytych ambicyi, lubo nam z wyżyn prowincyonalnego Olympu niejedno Jowiszątko cisnęło zarzut, że kierującą zasadą „Młodej Polski“ jest egoistyczne: *„Ote toi que je m'y mette“*, — my w poczuciu uczciwych intencyi naszych nie opuścimy placu i niezmiennie powtarzać będziemy: Nie o nas tu chodzi, lecz o to biedne społeczeństwo, któremu wy odbieracie wiarę w siebie, rzutność i chęć służenia sprawie publicznej.

Trzy mile widnokręgu waszego nie sięgają daleko, nie ogarniają wszystkich warunków rozwoju narodowego, nie starczą na zgłębienie jego podstaw moralnych. My wam dobrej wiary nie odmawiamy, ale bolejemy nad krótkowidztwem waszem, które nie pyta, nie bada i nie zgłębia, jakie „jutro“ z chwili dzisiejszej wyłonić się musi. I dla tego, póki sił nam starczy, protestować będziemy przeciw degradowaniu społeczeństwa do roli dziecka, trzymającego się bojaźliwie i pokornie fartuszka matki — senatorki, bo taka rola z narodu obywateli zamienić nas musi w naród niemowląt. Czy ta walka skończy się zwycięstwem, tego przesądzać nie śmiemy, — bądź co bądź znajdziecie nas aż do ostatniej chwili na posterunku, gotowych zawsze do walki z monopolami sprytnej koteryjki i witających radośnie każde drgnienie zdrowej inicyatywy, pozbawione waszej patrycyuszowskiej opieki i sankcyi.

Taki fakt jaśniejszy, choć zdradzający jeszcze lekkie znamiona słabości, dziś nam zapisać wypada. Ciche i apatyczne nieco Towarzy-

stwo „Stella“ rzuciło projekt zorganizowania prawidłowych „kolonii wakacyjnych“ dla biednych dzieci na wzór podobnej instytucyi warszawskiej. Plan po długich naradach i pracach przygotowawczych dziś się w ciało obleka. — statut gotowy, kamień węgielny położony. Oczywiście inicyatorzy zlękli się w samym zarodku dzieła samodzielności swojej. zlękli się przeciwdziałania naszych „monopolistów“ i nie ufając własnym siłom, zaprosili w kumotry kilku członków panującego bractwa, — ale bądźcobądź plan powstał i pierwsze pędy wypuścił po za rogatkami „kliki“. Niech tylko Towarzystwo „Stella“ nie pozwoli sobie z rąk wydrzeć tak pięknego dzieła i zepchnąć ojców dziecięcia do roli pospolitych pionków. Nie twierdzę bynajmniej, aby kierownictwo tradycyjnych patryarchów spaczyć miało lub stłumić rozwój kolonii wakacyjnych, ale pragnę, aby społeczeństwo przekonało się raz wreszcie naocznie. że coś poważnego samodzielnie, bez owych tradycyjnych sterników zacząć i do szczęśliwego końca doprowadzić umie. Chodzi tu o wpływ moralny takiej samodzielności na szerokie koła obywatelstwa, chodzi o zelektryzowanie sparaliżowanej inicyatywy, o spotęgowanie wiary do własnych sił, własnej energii, własnego rozumu. Niech „Stella“ stworzy kolonie, lecz niechaj również w uroczysty dzień inauguracyi powie do nas z dumą: Patrzcie! Stworzyłam je sama, nie jako palacz okrętowy, lecz jako kapitan kierujący statkiem. I oto złożyłam dowód, że w Księstwie po za szczupłem gronem uznanych powag myśli i czynu są szerokie koła ludzi zdolnych do samodzielnej a m i m o t o zdrowej i użytecznej pracy społecznej. Kłamią zatem ci wszyscy, co w poczuciu sztucznie wykarmionej słabości z trwogą spoglądają w przyszłość, wołając rozpaczliwie, że Księstwo runie. gdy dzisiejszych sterników nie stanie. Jest w społeczeństwie wiele sił żywotnych, tylko zniechęconych i zafukanych. Zbudzić je trzeba i rozpalić po całym kraju samoistne ogniska czynu, a więcej na udręczony naród ztąd spłynie korzyści, niż z generalnego biura o ministeryalnem zakroju, kierowanego przez ludzi niewątpliwie zasłużonych, ale przeciążonych pracą, i rdzą i pleśnią pokrytych. Do czynu zatem! Hasłem naszem: *Samodzielność!*

Jeżeli na inauguracyjnem święcie kolonii wakacyjnych Tow. „Stella“ będzie miało prawo tak do nas przemówić, natenczas my podwójną przyznamy mu zasługę, bo wtedy stworzy ono nietylko filantropijną instytucyę, nietylko tysiącom wybladłych nędzarzy rumieniec przywróci, nietylko więźniom miejskich zaduchów, zgniłych suteryn i poddaszy da słońca nieco i zieleni i świeżych powiewów, lecz oddziała umoralniająco na całe społeczeństwo, budząc poczucie obowiązku, stępioną siłę inicyatywy i wiarę we własne siły.

Sulla.

TO I OWO.

Curiosa poznańskie.

Po karnawałowych kadrylach i mazurach, szumkach i bulankach, rautach i herbatkach, flirtach motylkowych i poważnych konkurach, zaczynamy się bawić.... w naukę. Rozpoczął się sezon odczytów a pierwszy stanął na katedrze *ks. Jan Adamski* z prelekcyą „o kwestyi kobiecej“. Zrazu oniemieliśmy z podziwu, potem jakiś śmiech konwulsyjny wstrząsnął całem jestestwem naszem, lecz wielkopostne: „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz“ zadzwoniło nam w uszach i uwięzła w gardle wesołość. Skoro jednak ks. Jan Adamski odważył się z filantropijnej areny popularnych odczytów translokować mądrość swoją do poważnych przybytków „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ i rozprawą o „istocie piękna“ zaszczycić wydział historyczno-literacki, dłużej nam milczeć nie wolno.

Przerażające obniżenie poziomu umysłowego w zaborze pruskim przyzwyczaiło nas wprawdzie do różnego gatunku margaryny naukowej, prezentowanej społeczeństwu w odczytach, dziennikach, broszurach i t. d., ale zdaje się, że na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu nikt jeszcze tak zuchwale nie podeptał nauki, logiki i zdrowego sensu, jak autor prelekcyi o „kwestyi kobiecej“ i „istocie piękna“. Ludzie słuchali i uszom swoim nie dawali wiary. Wszyscy, — nie wyjąwszy pensyonarek, — wzruszali ramionami i z słowem oburzenia opuszczali salę, a rozgoryczenie było tak intenzywne, że przezwyciężyło nawet cześć dla sukienki duchownej, tak głęboko zakorzenioną w społeczeństwie naszem. Ludzie dowiadywali się np. z ust ks. Adamskiego, że pociąg płci trwać nie przestanie nawet w zagrobowem życiu, z tą tylko różnicą, że będzie to sobie taki flircik duchowy, bez zmysłowych popędów, słuchali dalej opowiadań o symbolicznem znaczeniu najświętszej rodziny, przedstawiającej w postaci Boga Ojca — małżonka, w postaci Matki boskiej — żonę, w postaci Chrystusa — dziecko, — no, i tysiącznych podobnych rozumowań. To się nazywało odczytem o palącem zagadnieniu społecznem — o kwestyi kobiecej. Nawet „Kuryer Poznański“, pismo na wskroś klerykalne, wtrącił lekki ironiczny uśmiech do referatu swojego, — a ks. Adamski — słuchajcie! — tak się zirytował tym grymasem, że natychmiast powołał do porządku zuchwały organ i zmusił go do przepraszających wyjaśnień.

Zdawało nam się, że po takiej próbce mądrości Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie dopuści do słowa niefortunnego prelegenta. Stało się jednak inaczej. Ks. Adamski mówił „o istocie piękna“ przed audytoryum złożonem zrazu z 6 osób: prezesa, sekretarza i 4 redaktorów. Później zjawiło się jeszcze dwóch członków, — jeden ksiądz i jeden „cywilny“. Nasza „akademia“ zatem skompromitowała się na szczęście przed nader ciasnem gronem swych członków. Odczyt „o istocie piękna“ godzien był prawie poprzednika swojego „o kwestyi kobiecej“. Słuchaliśmy np. anegdotek etymologicznych, że słowo „śliczny“ składa się z przyimka „z“ i „liczny“ t. zn. „z licznych najlepszy“ — że w słowie „piękny“ tkwi pierwiastek „jęk“ itd. Dowiedzieliśmy się, że Bóg patrzy inaczej na piękno, anioł inaczej i człowiek inaczej. Wreszcie częstował prelegent nas siekanką cytatów z Platona i ojców kościoła, tłomaczonych według scholastycznej metody tak głęboko, że z przerażeniem spoglądaliśmy na biusty mędrców stojące opodal, ażali nie runą ze swych piedestałów. Nie będziemy tu rekapitulować wszystkich banalno mistycznych deklamacyi i całego szeregu pospolitych bezsensów wypowiedzianych w odczytach ks. Adamskiego, — wyrażamy tylko przekonanie, że skoro prelegent ten raz jeszcze zapuka do drzwi Towarzystwa Przyjaciół Nauk, lub którejkolwiek z filantropijnych instytucyi, spotka go jednomyślna odprawa: Państwo nie przyjmują.

Na końcu jedno jeszcze pytanie. Dla czego to „Dziennik Poznański“, referujący skrupulatnie o wszelkiego rodzaju odczytach, a mianowicie o prelekcyach wygłaszanych w „Tow. Przyj. Nauk“, obdarzył czytelników swoich zaledwie suchą notatką, że odczyty ks. Adamskiego się odbyły- O! „umiarkowanie-liberalny“, czy też „staro-liberalny“ rycerzu! Rumień się, bo śmiałością zawstydza cię nawet chwilami „Kuryer Poznański“.

* * *

Aprasz teatralny.

Zakulisowe sprawy teatru poznańskiego znów w ostatnim czasie poruszyły opinię publiczną i spowodowały nietylko ogólne rozgoryczenie, lecz nawet gremjalne petycye, listy otwarte, rotowy ogień dzienników itp. Nie wdając się w szczegóły sprawy, zapisujemy tu tylko fakt, że *pani Majdrowiczowa*, jedna ze starszych artystek naszych, została z powodu jakiegoś drobnego, a nadomiar w ostatniej chwili naprawionego nieposłuszeństwa, przez dyrektora teatru brutalnie znieważoną w obecności kolegów i koleżanek. Artystka wraz z mężem swoim podała się oczywiście natychmiast do dymisyi, przekonawszy się, że dyrekcya wszelkiej, nawet najłagodniejszej satysfakcyi, udzielić się wzbrania.

Czytelnikom „Przeglądu“ dobrze wiadomo, że pismo nasze przeciw artystycznym kwalifikacyom pani Majdrowiczowej niejednokrotnie poważne wytaczało wątpliwości, — lecz dla tego właśnie słuszność protestu naszego w obronie znieważonej kobiety na tem większą zasługuje wiarę. Jeżeli panu Dobrowolskiemu dla dobra teatru chodziło o usunięcie pp. Majdrowiczów, to przysługiwało mu prawo pożegnania się z nimi przy końcu sezonu, a nawet natychmiastowego udzielenia dymisyi nieposłusznej artystce, wahającej się przyjąć rolę „Madame sans Gène“ *dla braku środków materyalnych na sprawienie kosztownych kostyumów.* Ale obrzucać obelgami kobietę, prawić za kulisami, że trzyma się ją „z litości, aby dzieci jeść co miały“ — to zaiste niegodne jest dyrektora wędrownych kabotynów, a cóż dopiero dyrektora teatru poznańskiego. Działo się to wszystko w czasie przedstawienia, w antrakcie, i ludzie zrozumieć nie mogli, dla czego pani Majdrowiczowa łkając wyszła na scenę i rolę swoją nie odegrała lecz odpłakała.

Kark twardy i duma wobec wyższych — wspaniałomyślność i serce gorące dla niższych! — tak postępują natury szlachetne. Ty, panie dyrektorze, inną w życiu kierujesz się metodą. „Ruki po szwam!“ gdy ten nadchodzi, którego się lękasz, lecz biada twoim podwładnym. Opinia jednakże pozbywa się swej apatyczności i swego serwilizmu dla „jubileuszowego redaktora“, a zrozumiał to p. Dobrowolski niezawodnie na wielkiej uczcie pożegnalnej dla prof. Wicherkiewicza, powołanego na katedrę okulistyki do wszechnicy Jagiellońskiej. Licznych mów i toastów słuchano tam z uroczystą powagą, lecz gdy powstał dyrektor teatru, wtedy gwar lekceważący, a nawet tarcie nogami o podłogę, zagłuszyły do szczętu jego popis krasomówczy. Opinia mścić się zaczyna — radzimy się nad tem dobrze zastanowić.

* * *

W sprawie Tow. Pomocy Naukowej.

Od jednego z abonentów naszych odbieramy pismo następujące:

Niezadługo odbędzie się Walne Zebranie Towarzystwa Pomocy Naukowej. Jak wieść niesie, zamierza prezes Towarzystwa, p. radca dr. Osowicki, urząd swój złożyć.

To powoduje mnie do poruszenia następującej kwestyi. Przed przeszło laty 20 miałem sposobność czytania elaboratu, wystósowanego przez p. dr. Osowickiego do dyrekcyi Pomocy Naukowej, w którym żądał wnioskodawca

„takiego urządzenia rzeczy, iżby stypendyaci byli obowiązani do zwrotu stypendyi“.

Jeśli kiedy, to dzisiaj rzecz ta byłaby bardzo na czasie i może szanowny pan prezes zechce przed swem ustąpieniem sprawę tę poruszyć na nowo.

Społeczeństwo nasze staje się coraz biedniejszem, składki będą coraz mniej napływały, a potrzeby będą z natury rzeczy coraz większe. Sądzę, że byłoby zbytecznem nad tem się rozwodzić.

Mówić o sposobach przeprowadzenia owego tak dawnego już planu p. dr. Osowickiego, dziś jeszcze za wcześnie. Jeźli tylko w zasadzie walne zebranie uchwali ówczesny projekt, to na sposobach urzeczywistnienia tej myśli nie zabraknie.

Przy tej sposobności pozwoliłbym sobie uczynić jedną uwagę. Nie byłoby może dobrze, gdyby szanowna Dyrekcya Towarzystwa Pomocy Naukowej zechciała formę sprawozdania kasowego zmienić, opuszczając nieszczęsne bilanse i rachunek zysków i strat? Towarzystwo Pomocy Naukowej jest wprawdzie instytucyą humanitarną i dla tego kwestyi rachunkowości nie można stawiać na pierwszym planie, ale uderzać musi, że (zob. spraw. za rok 94, str. 12) n. p.

1) składki zwyczajne i składki nadzwyczajne itd. uznano za pasywa, a więc za długi Towarzystwa,
2) że koszta dyrekcyi, zapłacone stemple spadkowe, wypłacone procenta itp. uznano za aktywa, a więc za majątek Towarzystwa,
3) że dochód i rozchód kasy nazwano zyskami i stratami itd. itd.

Są to drobne na pozór usterki, ale powodowany szczerą życzliwością dla Towarzystwa Pomocy Naukowej pragnąłbym, aby Towarzystwu temu nie można i pod względem formalnym niczego zarzucić.

* * *

Zygmunt Gorgolewski.

Jak czytelnikom naszym wiadomo, zwyciężył w konkursie rozpisanym w sprawie budowy teatru lwowskiego p. Zygmunt Gorgolewski, Poznańczyk. Poniżej podajemy kilka szczegółów biograficznych o laureacie, oraz pobieżną charakterystykę nagrodzonych planów.

Zygmunt Gorgolewski urodził się we wsi Solcu, w W. Ks. Poznańskiem w r. 1845, liczy więc obecnie 50 lat. Nauki odbył w gimnazyum realnem w Poznaniu, gdzie kształcąc się pod kierunkiem prof. Jaroczyńskiego, zdradzał od najniższych klas wielkie zdolności do rysunku. Na królewskiej akademii budowniczej w Berlinie zwrócił na siebie młody student szczególną uwagę ciała profesorskiego. W r. 1874 złożył ostateczny egzamin państwowy, otwierający mu karyerę rządową w całych Niemczech. Uzdolniony architekt, zajęty początkowo przy budowie wielkiego dworca berlińskiego (Lehrter-Bahnhof), brał udział w konkursie na gmach akademii muzycznej w Berlinie, w r. 1872 zaś uczestniczył również w międzynarodowym konkursie na gmach parlamentu niemieckiego, gdzie na 105 nadesłanych projektów z różnych części świata, projekt Gorgolewskiego należał do dwudziestu, które poddano, jako najlepsze, ściślejszemu rozbiorowi. Celem dalszych studyów odbywał pan G. długie podróże, zwiedził Włochy, Francyę, Rosyę i Austryę, wreszcie w r. 1893 objął stanowisko dyrektora Szkoły przemysłowej we Lwowie, i tu już uzyskał pierwszą nagrodę na konkursie, rozpisanym na pawilon sztuki na Wystawie krajowej. Plan architektoniczny nowego teatru p. Gorgolewskiego pomyślany jest w stylu niemieckiego renesansu i na pierwszy rzut oka wywiera dość silne wrażenie. Najładniejszą jest pod względem artystycznym fasada gmachu, zwrócona frontem ku Wałom hetmańskim, która składa się z trzech jednopiętrowych arkad, tworzących otwartą loggię; ta jest po bokach flankowana dwoma ryzalitami i pnie się ku górze grupami symbolicznych figur. Atykę po nad loggią zdobić mają kandelabry kamienne do światła elektrycznego. Budynek składa się w rzucie poziomym: z hali krytej, z dużego parterowego westibulu, z foyer idącego przez dwa piętra, z wielkiej klatki schodowej o górnem oświetleniu dla schodów pierwszego piętra, z sali widzów, wreszcie ze sceny, podscenia, zascenia itd. Przed halą znajduje się na planie główny podjazd, kryty szklanym daszkiem. Mniej udanem jest pomieszczenie głównego wentylatora, który podniesiony jest za wysoko i zakrywa widok na kopułę opartą na czterech timpanonach. Miejsc numerowanych ma być w nowym teatrze 974. Projekt p. Zawiejskiego, odznaczony drugą nagrodą (4,000 koron) nosi na sobie piętno baroku i celuje przedewszystkiem znakomitym rozkładem wewnętrzuym. Technicy zarzucają projektowi prof. Z. nieestetyczne wiązanie dachów i zbyteczną drobiazgowość w szczegółach dekoracyjnych.

KRONIKA LITERACKA

* **Przeklady z języka polskiego.** Świeżo ukazało się drugie wydanie „Bez dogmatu“ H. Sienkiewicza w przekładzie francuskim, dokonanym przez A. Wodzińskiego. „La Semaine littéraire“ zamieściła przekład „Latarnika“, a „Revue de Revues“ — „Organistę z Ponikły“ tegoż autora. W „Bulletin polonais“ znajdujemy tłomaczenie jednego z sonetów K, Tetmajera.

Dwa pisma niemieckie drukują jednocześnie „Quo vadis“ Henr. Sienkiewicza: „Fremdenblatt“ i „Niederrheinische Volkszeitung“. Wiedeńska „Arbeiterzeitung“ zamieściła „Piekło“ A. N. i „Za chlebem“ H. Sienkiewicza. „Die Zeit“ podało ustęp „Stańczycy“ z dzieła Koźmiana o r. 1863. Nowelę A. J. Sęka (Ant. Mieszkowskiego) znajdujemy w „Belletristische Sonntags Beilage zur Lodzer Zeitung“. Dramat D. Zglińskiego „Jakób Warka“został przełożony na język niemiecki. Albert Weiss ma wydać siedm powiastek Hajoty.

„Quo vadis“ drukują następujące pisma rosyjskie: „Russkaja Mysl“ w Moskwie, „Siewiernyj Wiestnik“ i „Trud“ w Petersburgu i „Zizń i iskustwo“ w Kijowie. „Sonety Krymskie“ A. Mickiewicza wyszły w Moskwie w przekładzie Miedwiediewa, jako odbitka z „Russkiej Mysli.“ „Birżewyja Wiedomosti“ podają przekład powieści Alfreda Konara „Siostry Malinowskie“. „Ruskoje Bogatstwo“ świeżo ukończyło druk powieści Wacława Sieroszewskiego „Na kresach lasów“. Toż samo pismo wkrótce ma zamieścić „Jurgisa Durnia“ Brolisa. „Russkoje Obozrienje“ podało dwa utwory E. Orzeszkowej, mianowicie: „Laleczkę“ i „Naiwne dziecko“. „Milorda“ tejże autorki znajdujemy w miesięczniku „Russkaja Biesieda“, „Obrazek z lat głodowych“ w tygodniku obrazkowym „Ziwopisnoje Obozrienje“ a „Dwóch braci“ w piśmie „Mir Bożij.“ To ostatnie pismo wydrukowało „Towarzysza podróży“ M. Bałuckiego i ma zamieścić „Wielki świat Capowic“ J. Lama oraz „Za Atlantykiem“ L. Krzywickiego. Tygodnik obrazkowy „Pietierburgskaja Żizń“ podał przekład „Pocztyljona“ Wł. Syrokomli w tłumaczeniu N. Mańkowskiego. W „Charkowskich gub. Wiedomostiach“ wydrukowano „Charakterystykę Rodziny Połanieckich“ Ig. Matuszewskiego. „Russkoje Bogatstwo“ zamieściło „Morze“ M. Konopnickiej, a „Siewiernyj Wiestnik“ — „Nature morte“ tejże autorki. W tygodniku „Siewier“ spotykamy „Sosnę“ Wł. Syrokomli. „Żizń i iskustwo“ wydrukowało „Pożegnanie“ P. Kośmińskiego. „Kijewskaja Starina“ podała artykuł „Chmielnicki pod Zamościem“ Al. Kraushara. „Hlas Naroda“ podał „W górach“ i „U domowego ogniska“ W. Feldmanna. „Besedy Lidu“ zamieściły „Mój pierwszy dramat“ A. Wilczyńskiego. Praca M. Zdziechowskiego „Karol Hynek Macha i bajronizm czeski“ wyszła w Przerowie. „Prosta miłość“ J. Łętowskiego wyszła w „Knihownie Besed Lidu.“ „Ilustrowany kuryer“ podał jedną nowelę Cz. Pieniążka z cyklu „Szare godziny“.

„Prawda“ lwowska drukuje przekład „Wielkiego“ Elizy Orzeszkowej. „Narodna Czasopyś“ podała „Zemstę Feluni“ A. Wilczyńskiego, „Damjana Capenkę“ Al. Świętochowskiego oraz nowelę A. Łętowskiego „Ja, on i ona.“ Bajki J. I. Kraszewskiego „Boże dary“ przyniósł „Dzwinok“. „Dilo“ wydrukowało „Trzy śmierci“ St. Rossowskiego, „Proświta“ wydała „Sad przy chacie“ E. Jankowskiego.

„Hrvatska“ drukuje „Quo vadis“ H. Sienkiewicza „Żurnał Minist. Narodn. Prosw.“ podał przekład łaciński „Alpuhary“ A. Mickiewicza.

L. W.

Kronika powszechna.

Wiadomości polityczne i społeczne. Położenie Włochów w Afryce staje się z dnia na dzień krytyczniejszem. Sprzymierzeni z Włochami królowie abisyńscy buntują się i walczą przeciw niedawnym aljantom. — Na czas trwania wystawy przemysłowej w Berlinie zniżoną zostanie taryfa kolejowa. — Z powodu koronacyi cara otrzyma Łobanow. minister spraw zagranicznych, wysokie odznaczenie od cara Mikołaja. Manifestem koronacyjnym cara darowane zostaną zaległości podatkowe, oraz udzieloną zostanie amnestya dla skazańców, skazanych w drodze administracyjnej. Wychodźcom zostanie pozwolony powrót do Rosyi. Przestępcy zwyczajni z wyjątkiem morderców, rozbójników i podpalaczy, otrzymają częściową amnestyą. Około 3000 Polaków otrzyma amnestyą. Kilku Polaków, zajmujących wybitne stanowiska w Rosyi, otrzyma wysokie ordery.

Teatr i muzyka. W dniu dzisiejszym (sobota) rozpoczyna panna P a n k i e w i c z, artystka teatru krakowskiego, szereg gościnnych przedstawień na poznańskiej scenie. Po raz pierwszy wystąpi gość nasz w „Właścicielu kuźnic“. W sferach teatralnych utrzymuje się wiadomość, że panna Pankiewicz pozostanie u nas do końcu sezonu. Dyrekcya teatru poznańskiego pertraktuje również z p. Ż e l a z o w s k i m o szereg gościnnych przedstawień. Byłby to bardzo pożądany nabytek dla sceny naszej. — W ubiegły czwartek odegrano przed pustem niemal audytoryum na benefis suflera, p. Chojnackiego trzyaktowy dramat hr. Starzeńskiego pt. „Sen trefnisia“. Grą dobrze cieniowaną odznaczali się pp. Wostrowski i Grabowiecki. — W kilku pismach pojawiła się wiadomość, że dyrekcyę teatru lwowskiego obejmują p. p. Bandrowski i Heller. — W warszawskim Teatrze Małym zaprowadzono popołudniowe przedstawienia popularne, cieszące się znacznem powodzeniem. — Pani Klamrzyńska, utalentowana śpiewaczka polska, zaangażowaną została na szereg gościnnych występów do medyolańskiego teatru „la Scala“. — Umowa z panią Stachowiczową o gościnne występy na poznańskiej scenie nie przyszła chwilowo do skutku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K...ski. Z faktu, że Szanowny Pan jest stałym abonentem Przeglądu, nie wypływa bynajmniej, aby redakcya miała „moralny obowiązek“ ogłoszenia utworów córki Pańskiej. Rozgoryczony ton listu Szanownego Pana jest zupełnie niestósowny i niesłuszny.

Przyjaciel. Spasowicz historyi literatury rosyjskiej dotychczas nie ogłosił. Podobno rzecz jest gotowa, — publikacyi jednak stoją na przeszkodzie względy cenzuralne.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.